RODZINA I DZIECKO

DOM i SZKOŁA

N. 4

ROK III KWIECIEŃ 1938

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

TREŚĆ:

NR 4 KWIECIEŃ 1938 ROK III

RODZINA I DZIECKO

CZASOPISMO ZESPOŁU RODZICÓW

Magdalena Skarżyńska.

„WESOŁY NAM DZIEŃ DZIŚ NASTAŁ“.

— „Dokąd jedziesz na święta?” — „Czy spotkamy Państwa w tym roku w Zakopanem?” — „Takie krótkie wakacje, — niestety tylko pod Warszawę uda się wyjechać”. — „Moja młodzież wyrusza na obóz akademicki, — tak się za nich cieszę, — może być jeszcze śnieg, a słońce będzie operowało cudownie.

Takie i tym podobne rozmowy usłyszeć można teraz, w okresie przedświątecznym, na każdym kroku. Wielkanoc to szał wyjazdów. Uspasabia nas do tego wiosna, zmęczenie po długiej, miejskiej zimie, wreszcie te parę czy kilka wolnych dni, które można i należy wykorzystać dla odpoczynku. życie wielu ludzi, a specjalnie ludzi mieszkających w dużym mieście, to przecież ciągły nerwowy pośpiech, ruch, gorączkowa praca. życie to porównać można do pędzącego szybko pociągu, mijającego bez zatrzymania najpiękniejsze okolice, biegnącego przed siebie w dymie i kurzu. Jedyne stacje w tym pędzie to właśnie święta, które przynoszą pewne zatrzymanie zwykłego tempa dni, pewne odetchnienie.

Młodzież i dzieci w wieku szkolnym mają dnie bardziej, spokojniej uregulowane, ale i one potrochu wciągnięte są już w pośpieszny tryb życia dorosłych. Wymogi wypoczynkowe są u nich niemniej ważne. Gra tu rolę dominującą szybki w tym wieku rozwój fizyczny, przepracowanie szkolne, — wreszcie — jeśli o stronie psychicznej mowa — pobudliwość nerwowa spotykana nie tylko u młodzieży, ale często i u dzieci.

„Szał wyjazdów” dla wypoczynku jest więc w większości wypadków zupełnie uzasadniony. Mamy pełne prawo do wyjścia z miejskich murów, do zmiany warunków, poprostu do nabrania sił i zdrowia.

Czy jednak święta tylko ten odpoczynek nam niosą? Czy te parę spokojnych chwil dla nas i rumieńce na twarzach naszych dzieci są już ostateczną i dostateczną wartością z tym związaną?

Okres Wielkanocny jest przecież kulminacyjnym momentem naszej religii. Łączy się tu najboleśniejsze wspomnienie męki Pańskiej, z cudem

Zmartwychwstania, ze szczęściem Odkupienia. Po kirach wielkopiątkowych następuje radosna Wielka Niedziela. To nie powinno być dla nas czymś zewnętrznym, czymś odsuwanym na dalszy plan, a może wogóle zapominanym. Wypływają stąd przecież obowiązki dla nas samych, dla naszych dusz. Ten cud Zmartwychwstania musi stać się i w nas, musimy odrodzić się i zrzucić z siebie „jarzmo starego człowieka".

Odrodzenie nasze wewnętrzne. Czymże ono jest w rzeczywistości? Odrodzenie to wzmożenie najlepszych naszych wartości, rozgrzanie serca ogniem miłości ku bliźnim, danie impetu temu co w nas jest czystego, dobrego, co nas prowadzi wzwyż. To spojrzenie na otoczenie jaśniej, inaczej, jakgdyby czasem okiem widza, który przestaje być w danej chwili centrum swego światka, ale patrzy nań z boku i dostrzega wtedy to, czego nigdy przedtem nie zauważył. Sprawy, które go przygniatały, dręczyły, staną się wtedy może dla niego błahe i drobne, a wagi nabiorą zagadnienia inne, zagadnienia tego „drugiego człowieka", który nieraz potrzebuje najwięcej naszej pomocy i ofiary.

Odrodzenie nasze wewnętrzne to zmieniony też stosunek do naszych dzieci. Spojrzenie spokojne i rozumne na ich sprawy, wniknięcie w nie opieką i radą nietylko „z urzędu", ale z usilnym staraniem zrozumienia duszy dziecięcej i pełnią dobrej woli ułożenia jak najlepiej wzajemnych z nimi stosunków.

Wykorzystajmy okres świąteczny. Chodzimy przecież z dziećmi „na groby". Niech to obchodzenie kościołów nie będzie zwykłym spacerem połączonym z pewnym zimnym zaciekawieniem. Włóżmy w nie głębszą treść, mówmy dzieciom o Zbawicielu, Jego Męce, o nadchodzących świętach i naszym w nich udziale. Sprawy te poruszone w poufnej, a poważnej rozmowie pozostawią napewno ślad.

Zmartwychwstanie, które zbiega się tak cudownie z budzeniem się przyrody, ze świeżą zielenią, z pierwszym kwiatem wiosny musi nam dać jednocześnie nową szatę duszy. Przy głosie wielkanocnych dzwonów poczujemy wówczas w sercu wielką radość i spokój. Wtedy — nawet bez słów — otoczenie nasze odczuje atmosferę skupionej radości i „wesoły dzień" nastanie w naszym domu.

Wypoczynek świąteczny będzie nie tylko wypoczynkiem mózgu, mięśni i nerwów, ale twórczym okresem dla duszy.

Dr A. Narwoysz

PRZYSPOSOBIENIE WYCHOWAWCZE.

Zagadnienie poziomu kulturalno-obyczajowego i etycznego młodzieży stanowi problem, głęboko i oddawna niepokojący tych, którym nie obojętne są sprawy, związane z rozwojem naszej kultury, naszej tężyzny duchowej i mocy, jako narodu i państwa. Dotychczas problem ten był ujmowany pod kątem widzenia raczej bezpośredniego oddziaływania na młodzież w postaci takich, czy innych zabiegów wychowawczych lub porządkowych.

Należy jednak sobie zdać sprawę, że za dzisiejszy poziom kulturalny i etyczny młodzieży winę ponosi w pierwszym rzędzie środowisko dorosłych, w którym ona przebywa, środowisko to w najszerszym tego słowa znaczeniu — a więc przede wszystkim pozaszkolne — jest najważniejszym bodaj dziś czynnikiem wychowującym, dlatego też wszelkie oddziaływanie wychowawcze, mające na celu młodzież, musi je uwzględnić.

Uświadamianie szerokich warstw o znaczeniu społecznym procesu wychowania, wyjaśnianie jaką rolę w tym procesie spełnia środowisko i jaki jest wpływ wychowawczy postępowania każdego pojedyńczego członka tego środowiska, podjęcie zbiorowej, energicznej akcji, zmierzającej do zaktualizowania zagadnień wychowawczo-etycznych wśród społeczeństwa, oto, co — zdaniem naszym — winno być dzisiaj troską każdego, mianującego siebie społecznikiem, troską każdej, wziętej z osobna, organizacji społecznej bez względu na specjalny cel i charakter jej działalności.

Należy sobie bowiem dokładnie zdawać sprawę, że szkoła, jako tradycyjna instytucja naukowo-wychowawcza, przeżywa dziś głęboki kryzys ideowy i strukturalny. Nie spełnia ona już dziś — jak to słusznie stwierdza Bogdan Suchodolski[1]) — w takim samym stopniu, jak dawniej swoich funkcyj dostarczania wykształcenia ogólnego, przygotowania zawodowego i wychowania w ścisłym tego słowa znaczeniu młodocianych pokoleń. Funkcje te spełniają inne, pozaszkolne instytucje i czynniki, które skutecznie współzawodniczą ze szkołą i wpływami swymi daleko potężniej, niż ona oddziaływują na psychikę młodych osobników. Młodzież traci stopniowo zaufanie do szkoły, jako do instytucji wytwarzającej — bądź co bądź — sztuczną atmosferę społeczno-wychowawczą i sztuczne sytuacje.

---

[1]) Bogdan Suchodolski. Polityka kulturalno-oświatowa w Polsce współczesnej. W. 1937 str. 46 — 75.

Nie tu miejsce na szczegółowe uzasadnianie przyczyn tego kryzysu. Interesujących się odsyłam do wspomnianej książki B. Suchodolskiego. Jeżeli istotnie kryzys ten jest nieunikniony, jako wynikający z przyczyn natury ogólno-kulturalnej i socjalnej, tkwiących głęboko w przeżywanym przez nas obecnie okresie, znajdzie niewątpliwie swe rozwiązanie w bliższej lub dalszej przyszłości przez dostosowanie form organizacyjnych i podstaw ideologicznych szkoły do nowych kierunków życia. Natomiast sam proces wychowawczy jako taki nie może na tym ucierpieć pod grozą zagłady naszej cywilizacji i kultury zachodnio-chrześcijańskiej i dlatego też muszą być wytężone wszystkie siły i zmobilizowane wszelkie środki celem stworzenia atmosfery społecznej i warunków sprzyjających duchowemu i moralnemu wzrostowi młodego pokolenia. Jest to sprawa tym pilniejsza, że młodzież nie poddając się dziś z łatwością temu systemowi wychowawczemu, jaki narzucić pragnie jej szkoła, anarchizuje się stopniowo, poczyna lekceważyć sobie nie tylko szkolny — ale i wszelkie w ogóle autorytety, i sądząc, że staje się wolną i niezależną, podpada pod pręgierz najgorszej, jaką można sobie wyobrazić tyranii: tyranii własnych namiętności, nieuporządkowanych pożądań i kaprysów; staje się igraszką wpływów i czynników, działających świadomie destrukcyjnie, a których celem jest zagłada kultury europejskiej.

Toteż akcja, o której na wstępie tych rozważań była mowa, w trzech winna, naszym zdaniem, pójść kierunkach:

P i e r w s z y k i e r u n e k — n e g a t y w n y — polegałby na usuwaniu z przed oczu młodzieży niezdrowych podniet, oraz na wzmożeniu egzekutywy zarówno w szkole jak i w domu w stosunku do dzieci, wobec których oddziaływania wychowawcze są bezsilne, dotyczy to w szczególności dyscypliny i karności w przepełnionych szkołach powszechnych.

K i e r u n e k d r u g i — p o z y t y w n y to wytwarzanie opinii zbiorowej w łonie wszelkich zrzeszeń społecznych i zawodowych, to organizowanie, zarówno pośród osób starszych jak i młodzieży, zespołów, walczących o podniesienie poziomu indywidualnego i zbiorowego.

K i e r u n e k t r z e c i — to właściwa propaganda akcji wychowawczej wśród społeczeństwa. Organizacja takiej propagandy, która na razie objęłaby teren większych miast, wyglądałaby jak następuje:

Inicjatywę podjąć może grupa miejscowych nauczycieli w porozumieniu z delegatami przyszkolnych Kół Rodzicielskich. Dokoła tej grupy jako ośrodka projektodawczego i kierowniczego skupiliby się przedstawiciele wszystkich organizacyj społecznych i zawodowych z terenu miasta, które wyrażą chęć prowadzenia wśród swoich członków akcji propagandowo-wychowawczej. Utworzone w ten sposób ciało zbiorowe mogłoby przybrać

nazwę Stałej Komisji Międzyorganizacyjnej do Spraw Wychowania. Zrzeszenia wchodzące w skład Komisji, zachowałyby swą całkowitą niezależność i samodzielność w realizowaniu na swoich terenach akcji propagandowo-wychowawczej, której plan i zakres mogłyby być przedyskutowane na zebraniu Komisji. Szczególnie intensywna akcja byłaby prowadzona w stowarzyszeniach, utrzymujących świetlice lub urządzających wieczory dyskusyjne z referatami, zebrania towarzyskie itp.. Chodziłoby o to, ażeby w planie ewentualnych pogadanek, odczytów, referatów czy dyskusyj uwzględnione zostały tematy z dziedziny wychowania, psychologii dziecka, pedologii itp. Dobór tematów, wykaz odpowiedniej lektury pedagogicznej, dostarczenie prelegentów byłoby zadaniem Komisji, względnie tej grupy nauczycieli, która wzięła na siebie inicjatywę akcji. Ponadto do zadań Komisji należałoby czuwanie nad całokształtem spraw i zagadnień związanych z wychowaniem moralnym młodzieży w ścisłym porozumieniu i kontakcie z miejscowymi władzami szkolnymi, którym Komisja przedstawiałaby w miarę potrzeby swoje dezyderaty i postulaty.

Jako przedstawicielka społeczeństwa Komisja byłaby powołaną do wyrażania opinii w takich sprawach jak: uczęszczanie młodzieży na wszelkie widowiska i do lokali publicznych, organizowanie opieki nad młodzieżą poza szkołą, walka z pornografią i wszelkimi czynnikami deprawującymi młodzież; byłaby również instancją opiniodawczą wobec władz administracyjnych w sprawach związanych z oceną filmów, pism, wystaw, reklam itp. z punktu widzenia ich wpływu na obyczajność ogółu i na moralność dzieci w szczególności. Komisja musiałaby się wypowiedzieć w takich sprawach jak: uczęszczanie młodzieży na plaże razem z dorosłymi, wspólne kąpieliska otwarte, udział młodzieży w organizacjach sportowych pozaszkolnych itp. Komisja jako wyrazicielka opinii sfer rodzicielskich musiałaby również zastanowić się nad życiem szkoły, by się przekonać, czy uspołeczniona i aktywna szkoła dzisiejsza wytwarza atmosferę sprzyjającą pracy wychowawczej i samowychowawczej.

Nie ulega wątpliwości, że wśród młodzieży zarówno w szkołach średnich jak i powszechnych — znajdują się jednostki, których tęsknota do ideału czystości i zapał do pracy nad urobieniem w sobie silnego charakteru moralnego porwie tak silnie, że hasła te zechcą głosić pomiędzy kolegami, stając się inicjatorami, budzicielami i ośrodkami promieniującymi ruchu odrodzeniowego, który winien objąć jak najliczniejsze rzesze młodzieży.

Dążeniem Komisji Międzyorganizacyjnej winno być skupienie możliwie wszystkich zrzeszeń, działających na terenie danego miasta, zarówno społecznych jak i zawodowych, tak, ażeby propaganda zagadnień wychowawczych uchwyciła niejako całe społeczeństwo w różnych jego przekrojach. Chodzi oto, ażeby ojcowie bądź matki możliwie jak najczęściej byli

uświadamiani o ważności problemów wychowawczych, podobnie jak są wszyscy dziś uświadamiani o znaczeniu morza, kolonii czy konieczności walki z gruźlicą. Chodzi o to, by we wszystkich rodzinach polskich zapanowało wreszcie przekonanie, że w wychowaniu niezawsze wystarcza dobre serce matczyne lub mocna ręka ojcowska, że obok tego muszą rodzice posiadać elementarne wiadomości z dziedziny teorii i praktyki wychowania, że oddanie dziecka do szkoły nie zwalnia rodziców od obowiązków wychowawczych i żeby obowiązki te spełnić należycie, trzeba dziś posiadać w tym zakresie przynajmniej takie wiadomości, jakie posiada absolwent niższej szkoły rolniczej w zakresie hodowli zwierząt domowych. Niestety, jeśli chodzi o dzieci — my, rodzice posiadamy przeważnie tych wiadomości znacznie mniej.

Dalszym etapem byłoby rozszerzenie akcji na teren powiatu, województwa, wreszcie całego państwa, tworząc analogiczne Komisje międzyorganizacyjne powiatowe, wojewódzkie z centralną Radą Naczelną do Spraw Wychowania Moralnego w stolicy. Sądzimy, że opisane wyżej formy oddziaływania społecznego ludzi dobrej woli w kierunku wyjaśniania i popularyzowania wagi i znaczenia dla narodu i państwa zagadnień wychowawczych są możliwe do urzeczywistnienia.

Janina Buchholtzowa.

RODZINA A UMIEJĘTNOŚĆ WSPÓŁŻYCIA.

„U nas w domu ciągłe piekło — zwierzał się pewnemu psychologowi młody maturzysta. — Rodzice wiecznie mają do siebie nawzajem jakieś pretensje, a do nas tym bardziej. My też, rodzeństwo, między sobą nie potrafimy się dogadać. Siostrze w głowie tylko mody i stroje, młodszy brat nic nie uznaje poza sportem. Każde z nas mówi jakby innym językiem. Nie rozumiemy się nawzajem. A przecież, pomyśleć tylko, czy my jesteśmy tacy źli? Nie! Wiem, że wszyscy jesteśmy porządni ludzie. Tylko jakoś dogadać się nie potrafimy..."

Każde mówi innym językiem, i nie potrafią się dogadać. Nieumiejętność współżycia oto nieszczęście i klęska rodziny współczesnej, nietylko rodziny, ale i całych społeczeństw.

Na ostatnim kongresie psychologów (Paryż 1937 r.) sędziwy psychiatra i psycholog Janet, stwierdzając, że zaburzenia psychiczne powstają na tle zaburzeń w kontaktowaniu się społecznym jednostki, zachęcał młodych psychologów do studiowania praw, rządzących wzajemnymi stosunkami między ludźmi. Może poznanie tych praw ułatwi szczęśliwsze współżycie społeczeństw i narodów.

Może ułatwi ono przede wszystkim szczęśliwsze współżycie w grupie, stanowiącej podstawę społeczeństwa, w rodzinie. Bo jak tu dojść do znalezienia wspólnego języka? Trzeba się nauczyć lepiej siebie nawzajem rozumieć.

Żyjemy w epoce przełomowej. Pewne formy życia skończyły się, nowe jeszcze się nie ustaliły. Życie staje się coraz bardziej skomplikowane i coraz trudniej się do jego wymagań przystosować.

Nic też dziwnego, że coraz więcej mamy ludzi, którzy nie umieją współżyć z innymi ani w ciasnym kręgu rodzinnym, ani w gronie przełożonych i kolegów, w swej pracy zawodowej, ani w stosunkach towarzyskich. W rodzinie nie umieją znaleźć wspólnego języka ze swymi najbliższymi, w pracy zawodowej boczą się na kolegów, z zawiścią spoglądają na przełożonych, krytykują, plotkują, w ten sposób szukając kompensaty dla jakiegoś dziecinnego antagonizmu w stosunku do władzy, dla jakiegoś zatajonego poczucia niższości. A w życiu towarzyskim? Powodzeniem największym cieszą się dancing i bridge nadewszystko dlatego, że ludzie nie mają sobie nic do powiedzenia, że zanikła sztuka konwersacji, a zanikła dlatego, że się ludzie wzajemnie sobą nie interesują, chyba żeby podpatrywać nawzajem swoje wady i słabostki, i że nie umieją niczym interesować się w s p ó l n i e.

Coraz więcej mamy ludzi „nerwowych", ludzi, nie umiejących się przystosować do współżycia w gromadzie, coraz więcej psychopatów i neuropatów. Gdy wnikniemy głębiej w przyczyny rosnącej wszędzie nerwowości, ujrzymy, że na dnie każdego cierpienia nerwowego leży nieumiejętność nawiązania kontaktu z ludźmi, bądź nieumiejętność utrzymania tego kontaktu. Takich ludzi nazwał niemiecki psychiatra E. Speer, bardzo trafnym, a nie dającym się przetłumaczyć terminem: „Sonderlinge". Cudacy, powiedzielibyśmy, „osobniacy", ludzie „odrębni", którzy nie umieją się zżyć z innymi, którzy wydają się wrogo do innych usposobieni, a przecież w głębi duszy spragnieni są ludzkiego kontaktu.

Ludzie ci wloką za sobą jakieś niewyżyte wczesno-dziecięce konflikty, jakieś wadliwe reakcje na zachowanie się innych, zbędne antagonizmy, niepotrzebną nad-drażliwość, przez które unieszczęśliwiają siebie i otoczenie. Są rodziny, gdzie wszyscy są dla wszystkich szorstcy i opryskliwi, jakby wzajemna dla siebie uprzejmość należała do złego tonu.

Człowiek, który wyszedł z takiego gniazda już ma wszelkie predyspozycje, żeby stać się „cudakiem", i o ile sam w porę nie weźmie się do siebie, przeszczepi ten ton do rodziny, którą sam kiedyś założy. Wygląda to wtedy tak, jakby owa nieumiejętność kontaktu była czymś dziedzicznym. Tymczasem jest ona przeważnie produktem środowiska, czego najlepszym dowodem jest to, że ludzie, którzy przeanalizowali pod tym względem swój stosunek do innych, potrafią się zmienić, i że nie ma

wieku prekluzyjnego, który by u kogokolwiek wykluczał wychowanie od nowa swojej zdolności do współżycia z ludźmi.

W kilku szkołach amerykańskich w najwyższej klasie przeprowadzono ankietę na temat, czego najwięcej młodzież pragnęłaby się od szkoły nauczyć. „Dobrego współżycia z ludźmi" brzmiała większość odpowiedzi.

Jest to obraz na dzisiejsze czasy znamienny. Rodzina już tego dziś nauczyć nie potrafi. Ale czy i w jakim stopniu potrafi to uczynić szkoła?

Pedagodzy amerykańscy wierzą w tę możliwość. Wierzą, że potrafią wprowadzić dziecko w zgodną i harmonijną współpracę w grupie, że potrafią starszej młodzieży ułatwić zrozumienie konfliktów i trudności życia rodzinnego przez odpowiednie nauczanie psychologii, przez stosowną lekturę, przez koła dyskusyjne, gdzie wyświetlane są fragmenty filmów, przedstawiające zachowanie się młodych w różnych sytuacjach życiowych, i gdzie te sytuacje są dyskutowane przez młodzież pod kierunkiem doświadczonego psychologa-wychowawcy.

Kursy psychologii dla klas starszych zatytułowane są „Kursami stosunków wzajemnych między ludźmi". Są tam dyskutowane różne dzieła, popularyzujące zdobycze psychologii w tej dziedzinie. Wielkim powodzeniem cieszyła się, między innymi, wśród młodzieży amerykańskiej „Znajomość człowieka" Adlera, istniejąca zresztą i w polskim (niestety, bardzo lichym) przekładzie.

Zdaje się, że droga ta, aczkolwiek nie jedyna, może się w każdym razie okazać skuteczna. Jeśli młodzi nauczą się za młodu rozumieć istotę, a właściwie nieistotność tak wielu konfliktów i nieporozumień w życiu rodzinnym, będą sami lepiej przygotowani do założenia własnej, przyszłej rodziny, potrafią w postępowaniu własnym wykorzenić wiele błędnych nastawień utrudniających współżycie, a nade wszystko będą wiedzieli, jakich błędów powinni unikać w wychowywaniu swoich dzieci.

Inną z dróg byłoby szerzenie praktycznej wiedzy psychologicznej wśród rodziców i wychowawców, wiedzy jak najbardziej praktycznej, nie wdającej się w analizę podstawowych pojęć psychologii, która jest raczej rzeczą specjalistów, a zato wprowadzającej w lepsze życiowe zrozumienie różnych form ludzkiego postępowania, a nade wszystko rozwoju psychiki ludzkiej od najwcześniejszego dziecięctwa i wpływów, jakie na ten rozwój wywiera rodzina i środowisko.

Taka wiedza psychologiczna może przyczyniłaby się do tego, żeby ludzie stali się nawzajem dla siebie bardziej wyrozumiali, mniej wymagający, może również dopomogłoby im do zrozumienia, skąd w nich samych pokutuje tyle dziecinnych i nierozsądnych uprzedzeń i uroszczeń. A gdy do tego zrozumienia dojdą, przekonają się, że nawet przeszłość nie jest czymś nieodwołalnym i niepowrotnym, że i przeszłość odmienić można,

gdy się na nią spojrzy innym, rozumiejącym okiem, że błędy wychowawcze naszych rodziców względem nas, miast obciążać nas wiecznym żalem do kogoś za winy względem nas popełnione, może stać się w naszych rękach skarbem doświadczenia, z którego czerpać będziemy w postępowaniu z innymi ludźmi, aby dzięki nabytej wiedzy przerwać nareszcie łańcuch błędów wychowawczych i zacząć kształtować współżycie nasze z innymi ludźmi w rodzinie i w społeczeństwie coraz bardziej świadomie, dla szczęścia własnego, poprzez szczęście innych.

Ewa Małachowska

„PO OBU STRONACH FRONTU".

Godziny spędzone w szkole przeżywają dzieci nasze intensywnie, podniecone towarzystwem rówieśników, napięciem uwagi na lekcjach (to zresztą nie zawsze). Do domu przychodzą wyczerpane wysiłkiem, zmęczone gwarem. W drugiej połowie dnia siłą rzeczy musi nastąpić odprężenie.

Jakże ważną rolę gra ten, kto ma rząd nad ich duszami w czasie tej pierwszej, mocno przeżywanej połowy dnia. Widzimy to choćby z tego, ile uczniowie mówią o nauczycielach, naturalnie tonem lekkim, niedbałym — trzeba przecież siebie i innych przekonać, że się nie wiele robi z tych narzuconych autorytetów.

Stosunek do nauczyciela wytwarza się zazwyczaj zbiorowo, jest to stosunek gromady, wiemy zaś jakie właściwości charakteryzują psychologię tłumu, w każdym razie, daleka od rozwagi, jest siłą, której rzadko kto może się oprzeć. Dziecko nie wypowiada głośno swego przekonania, o ile sąd klasy wydaje mu się niesłuszny, uczucia zachowuje w głębi serca. Narzucone przez ducha klasy zapatrywania tak bardzo przecie obowiązują. Niewiadomo skąd się biorą i dlaczego, ale są siłą. Mocniejsze indywidualności, wytwarzające własne, może słuszniejsze, lecz niezgodne z większością zdanie, stoją zazwyczaj na uboczu i nie mają wpływu na kolegów, jak to się często zdarza z ludźmi, którzy nie poddają się popularnym poglądom. Takie typy mają zazwyczaj słaby wpływ na otoczenie.

Klasa szkolna jako całość ma przekonania krańcowe. Dla jednego nauczyciela wytwarza się nagle ubóstwienie, łaskawe poklepywanie po ramieniu w stosunku do drugiego, do trzeciego znów wrogość, nienawiść.

Sąd opiera się często na faktach, które u dorosłych wywołują inną reakcję. Młodzież nie zapatruje się na świat z filozoficznym objektywizmem i w swych wyrokach nie uznaje okoliczności łagodzących. W oczach jej olbrzymieją zalety, potwornieją wady bliźnich, a przede wszystkim nauczycieli.

Rodzice, którzy lepiej winni znać życie, posiadać więcej doświadczenia, poddają się jednak często tym sugestiom. Nie zadają sobie fatygi, aby lepiej poznać profesora, sąd swój opierają na zdaniu dzieci. „On mi dał dwóję, ale to niesprawiedliwie, on jest wogóle niesprawiedliwy" itd.

Przypomnijmy sobie nasze czasy szkolne, czy nie zmieniliśmy sądu o naszych nauczycielach? Nieraz po latach oceniamy ich inaczej. Klasa lubiła Francuzkę, bo się ładnie ubierała i była dobra, — to znaczy niewymagająca. Teraz widzę, że była wprost niesłychanie leniwa i nic ją uczennice nie obchodziły. Niemka była niepopularna, surowa. Zadawała sobie wiele trudu, żeby nauczyć niechętne dziewczynki i sprawiedliwie ocenić ich postępy. Nie obdarzała ich jednak zdawkowymi uśmiechami, nie otrzymywała też kwiatów.

Jedna matka powtarza drugiej zdanie uczniów o danym nauczycielu. Często zdanie jest słuszne, młodzież wyczuwa intuicyjnie prawdziwe wartości, lecz myli się też bardzo często. „Jego chłopcy tak kochają!" — Kochają może za płytką demagogię — „a tego nie lubią" — dlaczego? Czy zadały sobie matki to pytanie i czy starają się znaleźć na nie uczciwą odpowiedź. Krytykują z wielką wprawą postępowanie nauczyciela, metody nauczania — nie zdają sobie jednak sprawy z tych niezmiernych trudności, z jakimi się boryka, chociaż dobrze wiedzą, że nie jest zbyt łatwo w domu zmusić do nauki, czy względnego posłuszeństwa własne dzieci.

. . . .

Nauczyciel wchodzi do klasy. Lekcję opracował, w głowie ma pewną ułożoną kompozycję, którą zamierza wykonać. Musi przy zużyciu minimum czasu dać maximum korzyści, utrwalić zdobytą wiedzę, pogłębić to, co klasa już umie, ułatwić zapamiętanie, zorientować się w postępach jakie zrobiła. Musi dbać o to, by lekcja wspierała się na silnym kośccu, by nie było zbędnych odchyleń, przypadkowości, by nie zapanowała nuda, ani gwar zbytni. Dyskusję trzeba zbierać, łączyć, aby nie zeszła na manowce. Opracowany plan należy przeprowadzić konsekwentnie, treść podać w ten sposób, by skorzystali i ci mało zdolni i by nie nudzili się bardziej bystrzy. Klasa musi brać żywy udział w lekcji, lecz jednocześnie dbać należy o karność, by osiągnąć jak największy pożytek, by gwar wyrywających się nie doprowadził do chaosu. Nauczyciel pamięta, że musi wydobyć odpowiedzi cichszych, zmusić do myślenia bierniejszych, utrzymać na wodzy tych, którzy zawsze są gotowi mówić i zagłuszają resztę klasy, podobnie jak chwasty, wypychające i uniemożliwiające wzrost słabszych, lecz często bardziej wartościowych roślin.

Klasa wre. Siłą wzroku trzeba nakazać spokój, nagiąć uwagę. Chwilowa cisza — zaczyna się lekcja, rozwija się plan. Nagle coś nieoczekiwanego rozprasza skupienie — to A. ciągnie B. za włosy, C. ukradkiem czyta książkę, D. spogląda sennie w okno. Trzeba zwrócić im uwagę, myśl zmusić do intensywniejszej pracy. Zapał nauczyciela stygnie, zwłaszcza gdy, mając wstręt do szpiegowania, zauważa, że E. przepisuje od F itp. Zdaje sobie dobrze sprawę, że żadne z tych wykroczeń nie jest przestępstwem, zmniejsza jednak wydajność pracy, szkodzi chłopcom. Kompozycja lekcji mąci się, ulega niespodziewanym zmianom, trzeba szybko skierować niekarne fale we właściwe łożysko. Wśród dyskusji pilnie baczyć na właściwą ocenę inteligencji i wiadomości poszczególnych uczniów. Często przecież odpowiedź ujdzie w tłumie, gdy ten i ów się wyrywa, lecz chcąc być sprawiedliwym przy stawianiu stopni, nauczyciel winien dokładnie zdać sobie sprawę z postępów indywidualnych każdego chłopca.

Należy przede wszystkim uświadomić sobie, jak właśnie pod tym względem różni się szkoła dzisiejsza od dawnej. Wykładający nie ma dziś do czynienia z bierną, zwartą masą, lecz z kilkudziesięcioma indywidualnościami, których cechy odrębne przede wszystkim powinien zrozumieć. Obecnie nie wystarczy dać trójkę, czy piątkę, lecz na podstawie przemyślanej charakterystyki każdego ucznia zdawać sobie możliwie dokładnie sprawę z jego psychologii, z przyczyn, które wywołują takie, czy inne jego postępowanie, owoce pracy itd., w końcu wypełnić odpowiednie karty indywidualne itd. itd.

Wtrącę nawiasem, że nie są to jakieś nowomodne polskie pomysły, lecz czyn-

niki, bez których nie obywa się dzisiejsza pedagogia europejska, czy amerykańska .

Na każdej lekcji nauczyciel musi nakazać spokój nie drogą postrachu, lecz wysiłkiem woli, budząc zainteresowanie przedmiotem, który wykłada, nawet u najbardziej leniwych i roztargnionych. A wiemy przecież, że dzisiejsza młodzież nie jest senna i ospała, lecz impulsywna i pełna życia, nakazanie jej względnej ciszy kosztuje wiele. Nic też dziwnego, że po godzinie następuje wyczerpanie, spalanie się. W czasie pauzy odetchnąć też jest trudno, tyle spraw jest do omówienia z dyrektorem, kolegami i uczniami. Dzwonek na lekcję działa jak uderzenie ostrogi na konia, do klasy wchodzi nauczyciel sprężysty i opanowany. Fluidy woli ujarzmić muszą rozbawioną gromadę. Popatrzmy teraz na niego po godzinach szkolnych. Twarz opadła, oczy zgasły, ruchy straciły prężność. Zdaje się, iż jest jak wyciśnięta cytryna. Marzy o wytchnieniu. Znużony fizycznie, gdyż nieraz przez 5 — 6 godzin stał, by panować nad klasą, głos ma tak zmęczony, iż myśli tylko o tym, by po przyjściu do domu nie trzeba było mówić. A stan nerwów wyczerpanych napięciem?

Nie można jednak wypocząć. Mózg pracuje nadal. Już obmyśla się i opracowuje lekcje na dzień następny, czekają stosy zeszytów. Trzeba przygotować materiał do ćwiczeń, wyszukać pomoce naukowe. Ileż popołudni i wieczorów nauczyciel spędza w szkole. Na iluż posiedzeniach, referatach, odczytach, wieczorkach, uroczystościach, kółkach musi być obecny. Nie jest przy tym zwykle biernym widzem czy słuchaczem, lecz organizatorem poczuwającym się do odpowiedzialności za przedstawienie, przygotowane przez niego, lub za zachowanie się uczniów.

A ile winien czytać bądź ze swej specjalności, bądź dzieł ogólnie dydaktycznych, by się utrzymać na poziomie. Nie stać na kupno wszystkich książek, ile więc czasu pochłaniają biblioteki. Przecież to, co obserwujemy w szkole, jest zaledwie nieznaczną cząstką pracy nauczyciela.

Nie ma też czasu na własne życie. Szkoła wżera się tak bardzo w świadomość, iż wrażeń jakie dała nie można się wyzbyć przez cały dzień — nie tak, jak zajęcia biurowe, po których można się odprężyć i wypocząć nerwowo. Pedagogowi tak trudno jest oderwać myśl od swej pracy. W teatrze, czy w kinie zastanawia się, czy warto dane widowisko polecić uczniom, słuchając odczytu myśli, jak zdobyte wiadomości zastosować w szkole, na czytaną książką też często patrzy z tego stanowiska. Ta niemożność oderwania uwagi od jednego przedmiotu, kompletne opanowanie świadomości nauczyciela przez szkołę jest najbardziej męczącą stroną jego pracy.

Przychodzi niedziela. Trzeba zapomnieć o gimnazjum, naturalnie o ile niema „wywiadówki", zabawy uczniowskiej itp. Odwiedza się kolegę — umowa „nie będziemy mówili o szkole" — ale gdzież tam, w końcu rozmowa zjeżdża na tę czy inną klasę, ożywienie, roznamiętnienie. Myśl oderwać się od nich nie może.

Między życiem a nauczycielem stanęła szkoła, przysłoniła mu je, a przecież nie jest całym życiem, jest bardzo ważnym jego odcinkiem, ale nie wszystkim, tymczasem wyolbrzymia się tak bardzo, iż zatraca się poczucie rzeczywistości. Celem wychowania młodzieży jest przygotowanie do przyszłości, która nie jest oderwaną abstrakcją, lecz całkiem realnym życiem. Nauczyciel musi je dojrzeć, rozumieć wszechstronnie. Nie jest uczącą maszyną, lecz jest wychowawcą, który powinien sobie zdawać sprawę z rzeczywistości.

c.d.n.

ARTYKUŁY DYSKUSYJNE.

Kto ma organizować wczasy młodzieży: rodzina czy organizacja?

Pogadanka wygłoszona przez Radio w dziale „Dyskutujmy"

X. — Zdaje mi się, że pan dość niedawno opuścił mury szkolne i w tej naszej dyskusji o młodzieży daje to panu wielką przewagę nade mną, który już ani z młodzieżą tak wiele się nie stykam, ani niestety nie wiąże mnie już nic z piękną atmosferą młodości. Zdaje mi się jednak, że nie jestem jeszcze stetryczałym zrzędą, więc niech pan będzie łaskaw przyjąć moje uwagi jako życzliwe poglądy... powiedzmy: przedstawiciela dość dużej części starszego społeczeństwa. Bo czy chcecie tego czy nie chcecie, wy młodzi zawsze byliście i będziecie przedmiotem największej troski starszych, wychowawców i działaczy, ale przede wszystkim rodziców. To jest właśnie to wiecznie dręczące pytanie: co robicie ze swoją młodością, jak spędzacie te sielskie i górne lata; czy będzie z was pociecha, czy też ta troska o was pozostanie już rodzicom na zawsze.

Y. — Tak, proszę pana... pan pragnie w tej dyskusji wypowiedzieć zapatrywania starszych, więc mnie przypada oczywiście rola przedstawiciela młodzieży. Przystąpmy zatem odrazu do tematu. Zresztą pan to już określił: jest to zupełnie zrozumiała troska rodziców o to, jak spędzamy swą młodość, ściślej mówiąc, jak spędzamy dzień za dniem w szkole, w domu, oraz co zdaje się jest rzeczą najważniejszą: poza szkołą i poza domem. Otóż widzi pan, zawsze wydawało mi się, że starzy, nawet ci najbardziej wyrozumiali dla młodzieży, uważają zwykle w skrytości, że jeśli jakiegoś Janka czy Zbyszka nie ma czasem ani w domu ani w szkole, to już z tym chłopcem jest niedobrze. „Gdzie ty właściwie chodzisz? Dlaczego ty się nie uczysz? Inni chłopcy w twoim wieku itd. itd...." — to jest taka porcja codziennych pytań domowych, na które trzeba codziennie odpowiadać: „Byłem u kolegi... byłem w świetlicy... byłem na boisku, w pływalni... na zebraniu..." — „Na zebraniu? Po co wy się właściwie tam zbieracie? Pewnie paliłeś papierosy. Przyznaj się? Lepiej byś siedział w domu i uczył się, masz zresztą tyle książek, czytaj, nigdy cię nie ma w domu itp." Niech się pan nie śmieje, pan wie, że tak właśnie jest, niech pan więc powie, czy tak musi być, czy ta troska nie sięga za daleko i czy naprawdę poza domem i szkołą istnieją dla młodzieży tylko tabliczki z napisem „nie wolno?".

X. — Uśmiechnąłem się, bo pan przedstawił to trochę karykaturalnie. Oczywiście tak już dzisiaj naogół nie jest. Bywało tak, owszem, ale „za moich czasów". Młodzież była silniej przywiązana niż dziś do domu rodzinnego i niech mi pan wierzy, że gdy dziś w perspektywie czasu patrzę na tamto wychowanie, to widzę jego wielkie zalety. Pan skarży się na te wymówki i zakazy domowe, tak rzekomo dokuczliwe dla młodzieży, ale czy pan wie, że poruszył pan głębokie zagadnienie społeczne — sprawę rodziny i jej rolę w wychowaniu dzieci. Jeśli, proszę pana, dzisiejsze dzieci mają tyle zajęć i rozrywek poza domem, że w domu są najczęściej tylko gościem, to ja to uważam za klęskę współczesnej rodziny. Rodzina zaczyna spełniać rolę czysto gospodarczą. Dla swych młodocianych członków rodzina jest to już często tylko: mieszkanie z wiktem, ubraniem i opierunkiem. A gdzie jest życie rodzinne? Nie ma go. Sprowadza się już tylko do niepokoju rodziców, do ciągłej troski o to, co robią dzieci, których nigdy nie ma w domu. Przecież przeciętny uczeń ma

dość dużo czasu wolnego na to, by bawić się, odpoczywać, zażywać wczasów, jakich już nigdy potem w życiu nie będzie miał. Otóż ten czas nie jest najczęściej przeznaczony dla rodziny, dla własnego domu. Ogromnej większości młodzieży ani przez myśl nie przejdzie, by w domu wynaleźć sobie jakiś sposób interesującego odpoczynku, by w kole rodzinnym szukać godziwej rozrywki. Nie, synek czy córeczka zazwyczaj bywają w domu nieuchwytni. Przywilej korzystania z towarzystwa jakiegoś Zdzisia, czy Zbysia, prawo posiadania go niemal na własność ma tylko jakaś paczka kolegów, trawiąca czas na całodziennych wędrówkach z boiska do kina, na zebrania jakiegoś kółka, na jakichś nie zawsze stosownych wyprawach, jeśli wprost nie na zwykłych wagarach. A gdzie, zdaniem pańskim, jest przede wszystkim miejsce wypoczynku i zabawy dla dzieci, jeśli nie w domu rodzicielskim; gdzie, jeśli nie w tym przysłowiowym cieple ogniska domowego ma żyć, bawić się, pracować nad sobą młodzież, jeśli ma być potem zdolna do tworzenia rodziny i do szanowania jej, jako podstawowego dobra społecznego?

Y. — No dobrze, proszę pana, ale nie żyjemy już przecież w tych patriarchalnych czasach, gdy rodzina mogła dać dzieciom pełne przysposobienie do życia. Młodzież, która ma żyć w społeczeństwie, musi się w tym społeczeństwie obracać, musi umieć organizować się między sobą dla pracy i rozrywek. Pan jednak potwierdza to, co ja powiedziałem na wstępie, że nawet najbardziej wyrozumiali rodzice nie mają zaufania do tego, co ich dzieci robią poza domem i szkołą. A to dlatego, że nie mają zbytnio wielkiego zaufania do młodych w ogóle. I to nietyle do swoich dzieci — ile do cudzych. A tymczasem młodzież najchętniej spędza dziś czas wolny w środowisku koleżeńskim, w gromadzie, w organizacjach młodych. Czy pan jest przeciwny temu, by młodzież organizowała się w związki koleżeńskie, by kształciła się nie tylko pod szkolnym przymusem, ale brała udział w kółkach samokształceniowych, by spędzała czas w gronie rówieśników i w atmosferze prawdziwej młodości? Pan mówi, że dawniej było inaczej? Że młodość spędzało się w domu rodzicielskim i w kółku rodzinnym? A tajne kółka uczniowskie? Przecież w literaturze naszej roi się od wspomnień o tych szkolnych czasach w niewoli. Przecież tam rodził się duch niepodległościowy, przecież tam wśród tych dzieci często zapadały decyzje, o których rodzice nie ważyli się myśleć. Czyż nasi dzisiejsi działacze brali sobie za młodu bardzo do serca wymówki rodzinne, że nigdy ich nie ma w domu, że pewnie gdzieś zbijają bąki? Jeśli cierpiało na tym być może życie rodzinne, to tym silniej rozwijało się życie ideowe młodzieży i potrzeba służby sprawie najważniejszej. Czy sądzi pan, że jednak dziś związki młodzieży nie mają racji bytu?

X. — Nie, proszę pana, nie jestem przeciwny temu, by młodzież podejmowała jakieś poważne zadania zbiorowe, by organizowała się dla jakiejś pracy ideowej. Jest to przecież konieczne uzupełnienie wychowania w szkole i w domu. Kółka niepodległościowe były nawet czymś więcej niż organizacją uczniowską, bo spełniały często rolę tajnej szkoły polskiej i — niech pan wybaczy — ale nie widzę nic wspólnego między ówczesnymi porywami ku niepodległości a zabawami dzisiejszej naszej młodzieży. Bo przecież o tym tylko mówimy. O odpoczynku po pracy, o zabawie, o wszelkich zajęciach przyjemnych i pożytecznych, którym oddawać się może młodzież w czasie wolnym od nauki. Jest przecież rzeczą oczywistą, że sprawa ta w pierwszym rzędzie obchodzić musi rodziców. Twierdzę jednak, że w sprawie tej dom ma głos coraz mniejszy. Trzynastoletni Władzio nie może zostać w domu i bawić się z młodszym rodzeństwem, bo on musi iść na świetlicę. On „musi” — uważa pan. Bo tam przyjdzie pięciu innych Władziów, żeby grać w warcaby, które każdy ma rów-

nież w domu. Do domu nie przyjdą. „Przecież po to właśnie mamy świetlicę". A z świetlicy wraca o dziesiątej. Dlaczego? Bo miał „dyżur". A inna piętnastolatka ma znów w innej świetlicy trzy razy w tygodniu jakieś „próby", które kończą się o 11-tej w nocy. Należę do koła rodzicielskiego jednej ze szkół i okazuje się, że nie tylko ja na to utyskuję. Większość rodziców skarży się, że ich dzieci są przeciążone. Nie nauką, ale — uczęszczaniem do różnych świetlic, kółek i zrzeszeń i wytwarza się taka paradoksalna sytuacja, że dzieci nie mają czasu dla swych rodziców czy rodzeństwa a nawet dla siebie samych. Dom stoi pustką! Młodzież żyje i rozwija się poza nim. Ale czy odwykając od życia rodzinnego rozwija się w dobrym kierunku, w to wątpię. Uważam, że należy temu przeciwdziałać. Ująłbym to poprostu w takie aktualne hasło wychowawcze: „Trzeba oddać dzieci rodzicom".

Y. — Nie sądzę jednak proszę pana, żeby to hasło zyskało popularność, nawet wśród rodziców. Czy myśli pan, że większość rodziców ma dziś czas i warunki do tego, by obmyślać dzieciom zabawy i rozrywki? Przecież dzisiejsza rodzina, to przeciętnie biorąc — zespół ciężkiej pracy zarobkowej. Praca ta uniemożliwia często prowadzenie jakiegoś ustalonego trybu życia. Starsi albo cały dzień pracują albo szukają odpoczynku również poza domem. Przykład idzie z góry. Jeśli więc dom stoi pustką od rana do nocy, to nie jest to tylko wina najmłodszych. Cóż za przyjemność siedzieć samotnie w domu, jeśli można wybiegać się za piłką na boisku, pograć w ping-ponga w świetlicy, spędzić czas w czytelni szkolnej, na kajaku, na rowerze, czy na nartach? Jeśli to wszystko tak bardzo pociąga młodzież i jest w dodatku potrzebne dla jej rozwoju fizycznego i uspołecznienia, to czyż należy jej tego zabraniać, trzymać ją w domu i skazywać na nudne odosobnienie? Siedząc bezczynnie w domu nawyka się do próżniactwa, do leniwego „spędzania" czasu. A przecież odpoczynek za młodu nie powinien polegać na tym, by „pędzić" ten czas bez treści, by wysiadywać wszystkie domowe stołki w pustym czekaniu na posiłek, pracę czy sen. Młodość odpoczywa w ruchu, w wysiłku mięśniowym, czy psychicznym i wszelka bezczynność to niepowrotnie stracony czas. A przecież trudno o lepszy przykład tego ruchliwego wypoczynku, jak właśnie życie organizacyjne młodzieży, świetlice i sport. Dom takich zabaw i rozrywek dostarczyć nie może.

X. — Ale może dać inne i napewno nie gorsze, a często pod względem wychowawczym lepsze. Sport i świetlica to nie jest jeszcze dostateczny powód do wymykania się przy każdej okazji z domu. Nie sądzę też, żeby uważał je pan za jakiś specjalny środek rozwojowy dla młodzieży. Ani warcaby, ani piłka nożna nie mają cudownych własności wyrabiania charakteru. A przecież o to właściwie chodzi i w pracy i w zabawach dzieci. Pan twierdzi, że w gronie rówieśników młodzież bardziej się uspołecznia. Nie wiem, co pan rozumie przez uspołecznienie. Uspołecznienienie polega tylko na umiejętności obcowania z młodzieżą w pracy czy przy zabawie, ale polega przede wszystkim na szanowaniu autorytetu i na dobrowolnej karności wobec niego. Tym autorytetem są dla dzieci w pierwszym rzędzie rodzice i wychowawcy. Tymczasem stwierdzono już niejednokrotnie, pisał o tym nawet jeden z naszych socjologów, że tam, gdzie młodzież obraca się tylko w gronie rówieśników, słabnie wpływ rodziców i starszych. Przywódca młodzieńczej gromady zyskuje o wiele większy autorytet niż ojciec, matka czy nauczyciel. A tam, gdzie wyrocznią dla dziecka są nie oni właśnie, lecz jakiś starszy kolega od palanta czy kółka literackiego, — o rzetelnym wychowaniu nie ma mowy. Dlatego właśnie nie jestem zwolennikiem tworzenia organizacji rozrywkowych dla młodzieży, a zwła-

szcza takich, w których brak autorytatywnego kierownictwa spośród kół rodzicielskich i wychowawczych. Chciałbym, powtarzam, by rozwinięto jakąś akcję u nas w tym kierunku, by rodziców bardziej zobowiązać do zainteresowania dzieci domem, by urozmaicić dzieciom czas, który spędzają w domu. Z tym próżniactwem domowym to pan ma zupełną słuszność. Nie dziwię się zupełnie, że czasami młodzież przenosi atrakcje w gronie kolegów nad domowe nudy. Ale to właśnie uważam za kryzys współczesnej rodziny. Rodzina ma przecież swą tradycyjną misję wychowania w dziedzinie moralności i uczuć, w dziedzinie zainteresowań i wyboru zawodu. Na to jest ten czas wolny, który pozostawia dziecku szkoła. I tego czasu nie może zabierać bez reszty pierwsza lepsza świetlica, organizacja czy jakaś paczka kolegów.

Y. — No dobrze, pan krytykuje gry i zabawy zbiorowe, organizowane przez szkoły i stowarzyszenia, mówi pan o powołaniu rodziny, gani też pan próżniactwo domowe, ale — czymże wreszcie chciałby pan wypełnić w domu czas wolny młodzieży? Mnie się zdaje, że dziś jest to już rzecz ogromnie trudna. Ściślej biorąc, mogą sobie na to pozwolić tylko rodziny zamożne. Zabawki, książki, gry, kolekcje jakichś osobliwości, jest to przecież uciążliwa pozycja w budżecie domowym. A jeśli trafi się jakiś „mamin synek", którego mamusia na krok nie odstępuje i dostarcza mu wszelkich możliwych rozrywek, byle tylko utrzymać go zdala od innych „źle wychowanych" chłopaków, to z takiego też nie ma zwykle w życiu wielkiej pociechy. Można w domu czytać książki, układać klocki, wklejać znaczki pocztowe itp. Można też, co często się zdarza, służyć za czwartego do familijnego bridża, lub ogrywać tatusia w pokera, można asystować dorosłym w ich rozrywkach i brać nawet udział w t. zw. „życiu towarzyskim", ale wiele z tych rozrywek nie można przecież wogóle uważać za pożyteczne i interesujące wczasy dla młodzieży. Zdarza się też, że przy licznym rodzeństwie rozbieżność zainteresowań jest tak duża, że zamiast zabaw są w domu najczęściej kłótnie. Poza tym przy dzisiejszej ciasnocie mieszkaniowej, zwłaszcza wśród warstw uboższych, młodzież nie ma wprost w domu własnego kąta. Czyż w tych warunkach należy wzbraniać młodzieży uczęszczania do świetlic i lokali organizacyjnych? Pan mówi, że nie jest pan przeciwny związkom młodzieży, o ile stawiają one sobie poważne zadania ideowe. Ależ nie ma wprost u nas organizacji młodych, nawet dzieci, któraby działała dla samej rozrywki, bez jakiegoś poważniejszego kierunku wychowawczego. Te rzeczy wiążą się z sobą i dają często w rezultacie duże wyniki społeczne. Przecież odbywa się tu właściwie interesująca praca i dzieci, czy też starsza młodzież ani spostrzegą się, że za młodu pracują z zapałem nad tym, co często w przyszłości obierają jako pracę zawodową. Poza tym nie ma tu mowy o jakimś ujemnym wpływie rówieśników. Organizacje znajdują się pod opieką dojrzałych wychowawców i społeczników i nie można uważać ich za jakieś bezkarne rozpasane gromady, za plagę domu i szkoły. A wycieczki krajoznawcze czy wreszcie obozy i kolonie letnie, czyż nie są one prawdziwym dobrodziejstwem dla młodzieży i ich rodziców, którzy nie mogą samodzielnie wysyłać dzieci w podróże i na wieś? Jeśli dziś całe życie społeczne przybiera formy zorganizowane, i małe rodziny zrzeszają się w ogromne rodziny społeczne jak wojskowa, kolejowa, policyjna, pocztowa itp., to czyż młodzież ma stanowić tu wyjątek, ma być trzymana zdala od społeczeństwa dlatego, by wzmocnić autorytet rodziny? Przecież i bez tego autorytet ten jest dziś ogromny i życie organizacyjne w niczym go nie pomniejsza. Ciepło ogniska domowego nie zależy przecież od ilości czasu spędzanego w domu, bo bierze się z przeżyć głębszych, których poza rodziną doznać nie można. Nie ma więc chyba mowy o jakiejś rywalizacji między domem a świetlicą czy grupą młodzie-

żową, przeciwnie — wczasy organizowane dla młodzieży, to prawdziwa i rzetelna pomoc rodzinie, która rozrywek tego typu dzieciom zapewnić nie może.

I dlatego wciąż jeszcze nie bardzo rozumiem, co właściwie usposabia pana tak wrogo wobec tej akcji. Myślę, że jest to uczucie nieufności do tego wszystkiego, czym zajmuje się młodzież poza domem i szkołą.

X. — Nie, proszę pana, niech pan tego nie nazywa nieufnością. Jest to tylko poczucie odpowiedzialności za dziecko, której poza rodzicami nie odczuwa już w takim stopniu — nikt. Żadna organizacja, nawet żadna szkoła. Jakże można kierować wychowaniem dziecka, jeśli wskutek tych wszystkich atrakcji nabiera ono absolutnej niechęci do przebywania w domu, jeśli ten dom zaczyna uważać wreszcie za zło konieczne a rwie się sercem do wszystkiego, co jest poza nim? To wszystko, co pan powiedział brzmi bardzo pięknie. Ogródki dziecięce, rojne świetlice, obozy, stadiony, praca społeczna młodzieży... ale niech pan nie zapomina, że rodzice widzą właściwie tylko odwrotną stronę medalu: zanik życia rodzinnego, zanik solidarności i współpracy w domu. A wszystko to w imię zabawy, wczasów! No, ale dość na tym, bo powie pan, że naprawdę zaczynam zrzędzić. Zostawmy trochę tej naszej dyskusji naszym czytelnikom, tym bardziej, że właściwie nie doszliśmy do żadnego porozumienia i kwestia pozostaje po dawnemu otwarta.

Punkty do dyskusji:

1) Czy świetlice i rozrywki zbiorowe młodzieży zagrażają życiu rodzinnemu?

2) Kto ma organizować wczasy dla młodzieży: rodzice, szkoła czy związki młodzieży?

Bolesław Wasylewski.

Zagadnienia licealne [1]).

(Dalszy ciąg dyskusji)

W narzekaniach na przeciążenie młodzieży licealnej przypisuje się zazwyczaj całą winę programowi nauk. Za mało zastanawiamy się nad koniecznością odpowiednio dobranego materiału uczniowskiego. A jednak przy dobrze wykonanej selekcji uczniów (jest to zdaje się niezbędny warunek normalnego funkcjonowania klasy licealnej) nauczyciel mając ułatwioną pracę może skuteczniej uporać się z realizowaniem nowych metod nauczania i, do pewnego stopnia, nowego materiału naukowego. Uważam, że w klasie mojego syna, w której jestem przewodniczącym patronatu, niedobrze została przeprowadzona selekcja przy przyjmowaniu chłopców na początku roku. Nie wynikło to jednak wskutek małej gorliwości grona nauczycielskiego ani braku uświadomienia rodziców. Mieszkamy w prowincjonalnym mieście. Szkoły zawodowej nie mamy. Co było robić z młodzieżą, która rzeczywiście niezupełnie nadaje się do studiów wyższych, a nie ma gdzie jej skierować, aby została przygotowana do zawodów praktycznych. Sądzę, że nasza lokalna bolączka jest wyrazem niedoli pod tym względem całej masy miast i miasteczek Rzeczypospolitej. Urzędnik, zarabiający 200 — 300 zł miesięcznie może kosztem wielkich ofiar kształcić swoje dzieci na miejscu, nie może jednak płacić za ich utrzymanie (dodając do tego wydatki za samą naukę) w innym mieście poza domem, bo po pro-

[1]) Patrz Nr. 2 i 3 b. r. „Rodziny i Dziecka”.

stu nie stać go na to. Co ma wtedy robić chłopak? Czy po skończeniu 4 letniego gimnazjum ma się nie uczyć? A co daje świadectwo z 4 klas gimn.? Gdzie przyjmą takiego chłopca do pracy, w którejby znalazł przyszłość dla siebie? Co więc robić? Oddają rodzice chłopca do liceum ogólnokształcącego, a dyrekcja, a nauczycielstwo godzą się na to, bo nie mają serca odmówić. Chłopiec nie jest ograniczony, da sobie jakoś radę, a za 2 lata może się okoliczności inaczej ułożą. Tymczasem niech się uczy w klasie licealnej, zawsze będzie umiał więcej, niż gdyby się wcale nie uczył. Rodzice robią to, bo nie mogą inaczej, a szkoła wchodzi w położenie rodziców i w położenie młodzieży. Ofiarą staje się zamierzony cel organizatorów liceum ogkszt. Jakie stąd wyjście? Jak najwięcej rozbudowywać szkoły zawodowe, zakładać bursy *tanie*, pod dobrą opieką fachowych wychowawców, organizować Koła Opieki nad młodzieżą w nich zamieszkującą, które byłyby łącznikiem między młodzieżą korzystającą z burs, a miejscowym społeczeństwem.

*

Uwagi Dr T. B. w sprawie przeciążenia młodzieży licealnej odczytaliśmy na Zebraniu Patronatów naszej szkoły i uznaliśmy za słuszne. Liceum istnieje dopiero pół roku, trudno więc mówić na podstawie tak krótkich obserwacyj o dodatnich czy ujemnych stronach nowego typu szkoły. Przeładowanie programu nie uderza nas, to raczej w gimnazjum program był przeładowany i młodzież najsumienniejsza nawet musiała się uczyć niekiedy po łebkach, bo na pogłębienie nie było czasu.

Na ogół młodzież licealna nie umie się uczyć, bo z gimnazjum przychodzi niezaprawiona do samodzielnej pracy, w liceum jest oszołomiona nowym materiałem i nowymi metodami. Nauczyciel, pozostawiający zbyt dużo samodzielności uczniowi w liceum, nie przygotowuje właściwie ucznia do prawdziwej samodzielnej pracy w przyszłości. Uczeń musi czuć, że pracuje pod kierunkiem nauczyciela, na pracę badawczą jeszcze czas. Nauczycielowi w liceum doprawdy bardzo trudno utrzymać się, aby nie wpaść z jednej strony w skrajną bojaźliwość przed samodzielnością ucznia, aby nie być konserwatystą trzymającym się zbyt mocno starych metod, a z drugiej strony znowu by nie puścić młodzie.y samopas. Sądzimy, że życie wiele spraw zrównoważy i zharmonizuje, bo rzeczywistość to dopiero prawdziwy egzamin wszelkich inowacyj, a przede wszystkim pedagogicznych.

*

Dużo się mówi o przeciążeniu młodzieży licealnej. Sprawa ta staje się już nieomal „legendą". Jedni widzą w wysiłku, którego żądamy od młodych, najlepszą szkołę charakteru, najlepszą podbudowę solidnej wiedzy umysłowej, drudzy niepokoją się, czy nie kosztem *zbyt dużego wysiłku* zdrowia i sił fizycznych rezultaty dodatnie są osiągane. Jednak musimy się liczyć z możliwościami młodzieży. W klasie przepełnionej liczebnie, trudno nauczycielowi wejrzeć w indywidualną pracę ucznia, trudno utrzymać jego samodzielną postawę, a nie puścić go „samopas". Kilku uczniów nieodpowiednich do liceum też bardzo przeszkadza dobrze wyselekcjonowanym harmonijnie i owocnie pracować. Ważne jest, aby młodzież miała zajęcia dobrze rozłożone w czasie. Musi być ład w obmyślaniu planu godzin przeznaczonych na pracę w laboratoriach, na lekturę, na wycieczki. Nie ma nic gorszego jak młodych wprowadzać siłą rzeczy w chaos, w którym my dorośli niestety często żyjemy, mając nieraz zajęcia tak rozłożone, że jedne zachodzą na drugie i ani rusz nie można bez zdenerwowania i „zdzierania się" wykonać choćby po łebkach wszystkiego.

Nie można też zapominać, że w wielu rodzinach panuje dotkliwy kryzys ekonomiczny, co odbija się niekorzystnie na warunkach zdrowotnych młodzieży.

Lektura dodatkowa np. jest kosztowna, a jeżeli się kupuje, to często kosztem dożywiania.

*

Wydaje mi się, że jeżeli sprawa *honorowania godzin wychowawczych* w gimnazjum jest podstawowym warunkiem dobrego rozwoju szkoły nowoczesnej pod względem wychowawczym i naukowym, to w liceum jest to zagadnienie wprost palące. Nauczyciel-wychowawca to cały opiekun, kierownik młodego liceanta w jego troskach i poszukiwaniach samodzielnych dróg w pracy. Jakże często trzeba pomóc, poradzić młodemu, aby uniknął straty czasu i zniechęcenia.

*

Moja córka jest pilna i bardzo obowiązkowa, dość zdolna, do wyższej szkoły się *nadaje,* oddawna ma już wybrany, wymarzony zawód lekarki i gdyby nie mogła tego dopiąć byłaby nieszczęśliwa. Jest tak zajęta, że nie można jej namówić nawet na krótki spacer i to nie tylko dlatego, że nie ma naprawdę czasu, ale że się denerwuje, że nie zdąży czegoś przygotować na następny dzień. Siedzi po nocach, głównie nad lekturą; i nie z powodu, aby zostawiała wszystko na ostatni dzień, tylko że książki często dostać nie może, aż ostatniego dnia. To samo z referatem. Nieraz trzeba przeczytać właśnie jakieś dzieło, aby w związku z jego treścią napisać referat. Książki tej nie można dostać na czas, czyta się więc po łebkach w ostatniej chwili, no i oczywiście trzeba czytać w nocy. Wiele, zdaje się, taka praca gorączkowa nie jest warta jako wzbogacenie umysłu, a dla zdrowia poważna krzywda. Jednak te rzeczy trzeba koniecznie uporządkować właśnie przez współpracę domu ze szkołą. Biblioteki ruchome, tanie wydawnictwa, to konieczność, aby program licealny nie okazał się wadliwy. Bo co będzie z tężyzną fizyczną, sportem, jakich obrońców będzie miała nasza ojczyzna, jakie będą matki przyszłego pokolenia, jeżeli zdrowie naszych dzieci będzie wyniszczane w ten sposób.

*

Największą bolączką programu licealnego to ciągłe szukanie lektury czy to w postaci książek, broszur czy czasopism. Słusznie pisze ktoś w Nr. 3 „Rodziny i Dziecka", że rodzice są wprost przemęczeni, młodzież zdenerwowana szukaniem materiałów do Zagadnień Życia Współczesnego, który to przedmiot wymaga niezwykłej inicjatywy i przedsiębiorczości u młodych, aby na czas zdobyć materiały. Szkoły z pomocą Patronatów Rodzicielskich powinny niezwłocznie przystąpić do organizowania bibliotek dla liceum, czytelni, gdzie młodzież miałaby zgromadzone czasopisma, albumy, aktualne wydawnictwa i t. d., niezbędne do poznania zagadnień życia współczesnego. Rodzice mogliby tu wiele pomóc nie tylko pod względem finansowym, ale poświęcając czas i starania pod kierunkiem nauczyciela - bibliotekarza na gromadzenie odpowiednich materiałów. Nie jest to wcale mniej ważne od gotowania kakao i zup dla młodzieży. Może to byłaby właśnie współpraca wychowawcza, której form szukamy dla ścisłego porozumienia się szkoły z domem.

A gdyby rodzice szukając materiałów nie tylko dla swojego dziecka, ale dla *klasy,* i sami poczytali trochę i uszczknęli szczyptę wiedzy o życiu współczesnym, mieliby dużo więcej tematu w rozmowach ze swymi dorastającymi dziećmi-liceantami.

Na marginesie dyskusji „Matka i córka".

Wielce interesujący i życiowy dialog na temat „Matka i córka" nasunął mi szereg refleksji. Jest to bowiem wycinek starego a jednak ciągle aktualnego problemu „starzy i młodzi". Nieporozumienie czy też brak wzajemnego rozu-

mienia się mają bezsprzecznie swe źródło zasadnicze w różnicy wieku. Wszakże my odchodzimy już, mamy właściwe życie, częściowo przynajmniej już poza sobą, gdy tamci wchodzą dopiero na scenę, zaczynają żyć — stąd jedni i drudzy inaczej patrzymy na te same sprawy.

Nasuwa mi się tu porównanie użyte w innym zresztą sensie przez jednego z publicystów: osoby, jadące powozem a siedzące naprzeciw siebie, ten sam krajobraz widzą zupełnie odmiennie. Trudno zniwelizować przepaść wykopaną latami życia, doświadczeniem, musi ona istnieć, inaczej nie byłoby młodych wogóle — lecz pomost porozumienia ponad przepaść tę rzucić może jedynie miłość. Tam, gdzie tego zabraknie — gdzie egoizm ściera się z egoizmem, będą ciągłe rozdźwięki.

Natomiast, gdzie istnieje głębokie, istotne nietylko zewnętrzne współżycie, tam matka z córką zawsze znajdą wspólny język, ale musi istnieć ciągłość współżycia od lat najwcześniejszych, ciągłe subtelne wyczuwanie pulsu młodego serca i rozumne nim kierowanie.

Zanalizujmy dialog matki z córką. — Po obu stronach jest niewątpliwie dużo słuszności, a jednak trudno im porozumieć się, po obu stronach jest bowiem też dużo egoizmu. A przecież egoizm macierzyński musi być wyeliminowany w stosunku do dziecka, dopiero wówczas bowiem będzie go również coraz mniej u córki. Mnie osobiście w wysokim stopniu razi szorstkość córki.

Wydaje mi się, że to, co ona uważa za swoje dobre prawo do swobody, przeczy prymitywnym zasadom przyzwoitości. Uważam, że nikt z domowników nie wyłączając nawet pana czy pani domu nie jest w porządku, jeśli nie poczuwa się do obowiązku przestrzegania pory posiłków, rozkładu dnia ustalonego dla domu wzgl. zapowiadania swych nieobecności, by drugim oszczędzić zbędnego czekania czy niepokoju. Pewne względy dla drugich we współżyciu istnieć muszą, ale nie jako skutek zewnętrznego przymusu w formie choćby kwaśnej miny czy wymówki, lecz jako wynik potrzeby wewnętrznej, pewnej kultury serca czy delikatności. Rozpatrzmy inną sprawę — sprawę dysponowania pieniędzmi i załatwianie osobistych sprawunków. — Otóż w tym pozostawiłabym córce, oczywiście w granicach możliwości finansowych, dużą swobodę, jest to bowiem dobry sposób przyzwyczajenia do samodzielności i nabywania doświadczenia pod dyskretnym kierunkiem matki. Poszłabym dalej i pozostawiłabym córce prawo samodzielnego prowadzenia niektórych spraw gospodarskich, zarządzania domem (o ile ma czas), by czuła, że jest to naprawdę jej dom i że jest tu potrzebna.

Następujące dwa punkty naszego dialogu wydają mi się również godne rozważeń: żale córki na uprzywilejowane stanowisko brata oraz to, że matka nie może zrozumieć, iż córka przestała być dzieckiem. Częste to niestety zjawisko, że syn jest inaczej trakowany niż córka, że na każdym kroku podkreśla się jego ważność i wyższość. *A sprawa druga — uznanie*, że córka już nie jest dzieckiem — czyż to tak trudno pojąć? Czyż jest to rezygnacja z praw naszych do dzieci, które właściwie są tylko wymysłem naszego egoizmu, boć czyż dzieci są dla nas? Trzeba umieć zwolna, stopniowo stosunek matki - opiekunki przekształcić na stosunek matki - przyjaciółki. Nie przyjdzie nam to trudno, o ile nie będziemy widzieli praw tam, gdzie są tylko obowiązki.

Jeśli pragniemy zdobyć pełne zaufanie naszej córki, traktujmyż i ją jak naszą powiernicę i przyjaciółkę. Sama okazując jej zaufanie w granicach możliwości, omawiając swoje własne sprawy osobiste, radząc się jej, jak kogoś bliskiego, uczę ją w ten sam sposób postępować ze mną. Pamiętać jednak należy, że każdy z nas ma swoje „zakamarki" duchowe, do których nikt nie zagląda, i że tam nie wolno się wdzierać przemocą.

Znane są typy matek - laleczek rozbawionych, których dzieci wychowują zrazu służące, potem pensjonaty. Jeśli matka taka, czując zbliżającą się starość i samotność, zapragnie wówczas zbliżenia się do córki, będzie oczywiście już za późno. Pozostaną dla siebie na zawsze obce.

Jakkolwiek więc rozmyślam nad zagadnieniem stosunku matki do córki, w jakikolwiek sposób je rozważam, wydaje mi się ciągle, że jedno jedyne ogniwo łączące matkę z córką — miłość głęboka a rozumna. Jestem bowiem z tych, którzy wierzą niezachwianie, że miłość i wyrzeczenie są kapitałem w świecie ducha, który opłaca wszystko stokrotnie, pod warunkiem, że niczego dla siebie nie żądamy ani też na nic nie liczymy.

Maria Sobkowa.

Jeszcze echo dyskusji o „Matce i córce".

Dyskusja p. Gombrowicz pt. „Matka i córka" wysuwa przede wszystkim zagadnienie ustosunkowania się człowieka do świata: — w danym wypadku do najbliższego otoczenia.

Jakie będzie to ustosunkowanie: altruistyczne czy egoistyczne, — od tego zależy rozwiązanie problemu.

Zosia miała słuszność wyprowadzając się od matki, — bezwzględną słuszność z jej punktu widzenia. Życie jej potoczy się teraz napewno łatwiej, przyjemniej, będzie panią swych przyzwyczajeń, swego czasu, — będzie widywała tych, których lubi, a przestanie spotykać ludzi, którzy ją nudzą. Czy jednak nie będzie w tym wszystkim pewnej, a może nawet sporej dozy egoizmu? czy po jakimś czasie Zosia nie stanie się coraz bardziej egocentryczną? Może zresztą nie, — może wyjdzie za mąż, szybciej i często lepiej w tych warunkach. Jeśli jednak nie wyjdzie, a samotność jej zaciąży, czy nie zacznie „dziwaczyć" się na punkcie ukochanego psa lub kota, a przede wszystkim własnej — najważniejszej i najcenniejszej osoby.

Dla wyrobienia w Zosi altruizmu może właśnie potrzebne było to jej codzienne, nieraz trochę trudne współżycie z matką. To był jakgdyby surogat małżeństwa, gdzie zwykle bez poświęceń obejść się trudno. Każdy człowiek ma pewną sumę cierpień i przykrości do zniesienia na świecie i ucieczka od nich nie zawsze jest wskazana. Jeśli znoszenie przykrości przyjmiemy dobrowolnie, ze zrozumieniem ich wagi dla duszy, nie będzie to biernością, ale przeciwnie mocnym czynem.

A gdyby ten altruizm ożywiał i drugą stronę tj. matkę, pożycie ułożyłoby się po pewnym czasie nie tylko znośnie, ale dobrze.

Nie mówię tu naturalnie o zupełnej „niezgodności charakterów", bo to nawet w małżeństwie znieść trudno. A że w wypadku „matki i córki" nie ma „nierozerwalności", więc wówczas rzeczywiście lepiej razem nie mieszkać.

M.

Czekolada.

Szkoła ma piękne osiedle położone w sosnowym lesie o terenie prawie dwumorgowym. Dom nowy, całkowicie przystosowany do potrzeb kulturalnego człowieka, widny, ciepły, estetycznie urządzony.

Każda klasa spędza tam jeden lub dwa tygodnie w roku, powinna się tam uczyć i wypoczywać nerwowo od gwaru wielkiego miasta i zżywać się z nauczycielami i koleżankami swojej klasy.

W regulaminie osiedla jest zakaz przywożenia słodyczy, przyjęty na zebraniu przez rodziców zarówno ze względów zdrowotnych jak i społecznych (przecież nie wszystkie dzieci stać na łakocie). Osiedle jest już czynne kilkanaście

tygodni i nie zdarzyło się jeszcze dotąd, by ten punkt regulaminu nie został przekroczony naturalnie przez rodziców, bo przecież oni mogą dać lub nie dać słodyczy. Najmądrzejsze, najserdeczniej współpracujące ze szkołą matki nie mogą zrozumieć, ile krzywdy wyrządzają swym dzieciom przez tak dziwnie pojętą miłość macierzyńską. Ile konfliktów przeżywa uczennica I lub II klasy, gdy musi tłumaczyć się przed wychowawczynią, że nie wiedziała, że mamusia włożyła jej czekoladę, chociaż mówiła, że nie wolno. Czy pozbawienie dziecka tej czekolady na jeden tydzień jest tak bolesnym przeżyciem dla matki, że woli dziecko narazić na przykrość od otoczenia, niż sobie odmówić przyjemności dogodzenia dziecku na odległość?... A czy rodzice nie zdają sobie sprawy, że starsze dziecko będzie te słodycze przemycać w różny sposób chowając je do szlafroka, do bucika lub kalosza. Czy nie lepiej raczej zmusić oporne dziecko do zachowania regulaminu, bo z nakazów i zakazów składa się życie i trzeba dziecko do tego przygotować. Ta przemycona czekolada będzie właśnie zjedzona w nocy, po umyciu zębów, gdy się już uśpi czujność wychowawczyni. Najstarsze — będą twierdziły, że muszą przywozić słodycze, bo są do nich przyzwyczajone, a zresztą cóż to komu może szkodzić!

Nikt tego nie rozumie, że w zakazie tym chodzi o coś ważniejszego, głębszego — o hartowanie woli, o podporządkowanie się cudzej woli, o koleżeństwo, jednym słowem o charakter, który dziś nie stanowi żadnej troski rodziców. Byle dziecko wyglądało zdrowo, dobrze jadło, i byle je pięknie ubrali — to grunt, a jaki z niego wyrośnie człowiek, nikt o to nie pyta. Wyrastają też egoiści, jednostki, dla których dom rodzicielski to przejściowa przystań do samodzielnego bytu.

E. S.

GŁOSY RODZICÓW.

Echa łódzkiej zabawy „rodzicielskiej".

Szereg doniosłych wypadków doby ostatniej zatarł już nieco w pamięci ogółu niesłychany incydent łódzkiej „zabawy", urządzonej przez komitet rodzicielski jednej ze szkół powszechnych. Podczas tej zabawy wynikła bijatyka, w której czynny udział brali nie tylko zaproszeni goście, ale i członkowie Komitetu Rodzicielskiego, wszyscy uzbrojeni w noże i kastety.

Tego rodzaju potworne wydarzenie rzucić mogłoby cień na cały ruch organizacyj rodzicielskich, i w tym też duchu komentowały ten fakt niektóre organy prasy.

Komentarze prasy uderzały nieraz pochopnością sądów i nieznajomością ruchu rodzicielskiego. Sedno tragicznej sprawy łódzkiej ma tkwić np. w „nowoczesnych" metodach wychowania. Tak twierdzi np. „I. K. C.", wyjaśniając, że wraz z rodzicami „do szkoły wszedł nowy element wychowawczy, polegający na urządzaniu zabaw tanecznych, w czasie których obecni opiekunowie zwracają więcej uwagi na butelki w bufecie, aniżeli na oddanych w ich ręce wychowanków".

Nieporozumienie za nieporozumieniem! Komitet rodzicielski, który zajmuje się urządzaniem zabaw dla *dochodu*, zresztą przeznaczonego na potrzeby szkoły, nie jest bynajmniej elementem wychowawczym. Zabawa zaś, którą ten komitet urządzał, nie była zabawą *dla wychowanków*, ale dla rodziców i ich znajomych.

Inna rzecz, że rodzice i ich przyjaciele, zjawiający się w szkole na zabawie z nożami i kastetami w kieszeniach, to już jakiś specjalny element. Widać owa szkoła powszechna w Łodzi położona była w dzielnicy zamieszkałej przez

jakieś podmiejskie męty społeczne, gdzie krwawe rozprawy tego rodzaju są na porządku dziennym.

Istota sprawy tkwi w czymś zupełnie innym, i raz musimy to sobie szczerze powiedzieć. *W niewłaściwej roli, jaką w życiu szkolnym odgrywają organizacje rodzicielskie.* Dużo się mówi o współpracy wychowawczej domu i szkoły, ale nawet pośród kierownictwa szkół mało kto zdaje sobie sprawę z istoty tej współpracy. Organizacja rodzicielska, o ile istnieje, ma jedno nadewszystko na celu: starać się o dochody dla różnych, bardzo pięknych zresztą, bardzo pożytecznych celów, a więc: na inwestycje szkolne, tak niezbędne, a na które szkoła ze swych skromnych funduszów pozwolić sobie nie może, na pomoc i na wpisy dla niezamożnych uczniów itp.

Różne są typy organizacyj rodzicielskich. Komitety Rodzicielskie, Koła rodzicielskie, Patronaty szkolne. Te ostatnie jedynie zajmują się właściwymi zadaniami współpracy wychowawczej domu i szkoły, tj. z jednej strony zbliżeniem elementu rodzicielskiego do elementu nauczycielskiego i do młodzieży, ułatwianiem szkole poznawania poglądów, warunków i trudności domu, z drugiej zaś zbliżeniem ogółu rodziców do ogółu młodzieży w danej klasie przez zbliżenie się do pracy społecznej młodzieży i bezpośrednie wnikanie w potrzeby i trudności poszczególnych jednostek. Ponadto, Patronaty prowadzą pracę samokształceniową wśród rodziców przez urządzanie pogadanek, wieczorów dyskusyjnych, bibliotek rodzicielskich, przez wspólne czytanie i omawianie prasy rodzicielskiej.

Tymczasem Koła rodzicielskie, wzgl. Komitety rodzicielskie zajmują się sprawami finansowo-filantropijnymi. Niektóre Koła (szczególniej w szkołach państwowych), rozporządzają nieraz poważnymi sumami rocznych budżetów, które idą na różne doniosłe cele, jak dożywianie młodzieży, pomoce szkolne, kolonie letnie itp.

Dochody swoje, w formie bardzo niedostatecznej płynące ze składek członkowskich, starają się uzupełnić przy pomocy wszelkiego rodzaju imprez. I tu właśnie najkorzystniejszą formą imprezy okazały się zabawy, urządzane dla rodziców w murach szkoły. Inne imprezy, jak zakupywanie wieczorów teatralnych, przedstawień kinowych itp. pociągają zbyt wielkie koszty. Tu zaś lokal nic nie kosztuje, użycza go bowiem szkoła, zaopatrzenie bufetu jest ułatwione dzięki ofiarności organizatorów, a chętni uczestnicy dobrze urządzonej zabawy towarzyskiej zawsze się znajdą w gronie rodziców, ich znajomych, jak również w gronie byłych wychowanków szkoły.

Niestety jednak, u nas się nikt nie umie bawić... bez kieliszka. To też panie organizatorki pocichutku, bez wiedzy kierownictwa szkoły, starają się, żeby pod bufetem znalazła się jakaś jedna i druga buteleczka świetnej domowej nalewki ku rozweseleniu humorów, zwłaszcza płci brzydkiej. Oczywiście, w środowiskach kulturalnych czynione to jest z umiarem, dyskretnie... ale jednak lepiej byłoby, gdyby się bez tego mogło obejść.

I dopiero, kiedy przerażeni rodzice zobaczyli, jak w karykaturze potwornie wykoszlawionej wygląda taka zabawa z alkoholem na owym ohydnym incydencie łódzkkim, dopiero zrozumieli, że sami lepiej byliby uczynili, gdyby nawet za cenę gorszej i mniej licznej zabawy uniknęli alkoholu we wszelkich imprezach, odbywających się w murach szkolnych, tak samo jak unika się go bezwzględnie i nieodwołalnie na zabawach uczniowskich.

I wogóle, warto się zastanowić, czy taka forma zabawy rodzicielskiej, zabawy taneczno-towarzyskiej przynosi coś dla ruchu współpracy domu i szkoły? Jak najmniej. Ani zbliżenie towarzyskie rodziców między sobą nie zyskuje na

nich, każdy bowiem, jak to już u nas jest w zwyczaju, trzyma się ściśle swojego kółka znajomych, ani też zbliżenie towarzyskie z nauczycielstwem niewiele się dzięki nim posunie, nauczycielstwo bowiem mało się udziela na tych zabawach.

W Angli urządzane są często „informal teas" — herbatki towarzyskie w szkole dla nauczycieli i rodziców, które służą do zbliżenia elementu nauczycielskiego z rodzicielskim. Cieszą się one wielkiem powodzeniem i przynoszą wiele dobrego, zarówno rodzicom jak i szkole. Ale nie są to imprezy dochodowe.

Może i u nas wartoby pomyśleć o podobnych imprezach? Niechby nawet istniał niedrogi, płatny bufet, który przyniósłby jakiś drobny dochód na humanitarne cele szkoły, ale w każdym razie nie w tej skali, co podczas zabaw czysto dochodowych.

Jeśli zaś idzie o imprezy dochodowe, to lepiej poszukać innej formy dla nich, choćby formy przedstawień uczniowskich, które nigdy nie zawodzą w swej dochodowości, a które ponadto tylko korzyści przynoszą młodzieży, jako przyuczające do zbiorowego wysiłku, do zorganizowanej wspólnej pracy.

W każdym razie, z tragicznego incydentu łódzkiego, zarówno ogół myślących rodziców, jak i kierownictwa szkół jedną mogą wyciągnąć naukę: jeżeli już chcemy naprawdę współpracy domu i szkoły, to pomyślmy nade wszystko o pogłębieniu jej treści, o wspólnym przemyśleniu jej istotnych celów, a są nimi: czuwanie nad rozwojem młodzieży, zapewnienie jej należytej opieki, pomocy i zrozumienia w domu i w szkole.

J. B.

SPRAWOZDANIA I RECENZJE.

KONFERENCJA DYREKTORÓW LICEÓW OGÓLNOKSZTAŁCĄCYCH.

Inicjatorami Zjazdu, który odbył się w Warszawie (7 — 10 marca 1938 roku), było Stowarzyszenie Dyrektorów Polskich Szkół Średnich Państwowych. Konferencja miała na celu porozumienie się i wspólne naświetlenie zagadnień liceum ogólnokształcącego, a mianowicie: 1. Jak wygląda program licealny w wykonaniu. 2. Jaki licea otrzymały materiał młodzieży z gimnazjum. 3. Jaka ma być forma zakończenia liceum.

Jakkolwiek konferencja nie miała charakteru normatywnego, a była tylko omówieniem zagadnień, nie pozostanie zapewne bez wpływu na ustosunkowanie się władz oświatowych do spraw licealnych.

Jako przyczyny trudności w realizacji liceum wysunięto: niekorzystne obecne warunki gospodarcze, nadmierny pośpiech w realizowaniu reformy szkolnej oraz niedostateczną rozbudowę szkół zawodowych.

Jako materiał posłużyły obserwacje pp. instruktorów ministerialnych oraz wyniki ankiety rozpisanej przez Stowarzyszenie do swoich członków, na którą odpowiedziało ponad 150 szkół. Jak sprawa jest aktualna i jakie budzi zainteresowanie, dowodzi liczny udział pp. Dyrektorów (również i prywatnych liceów) ze wszystkich okręgów szkolnych Rzeczypospolitej.

Referaty wygłosili: prof. Nawroczyński „Różne formy ukończenia szkoły średniej", Dr Łoziński „Jaka ma być forma zakończenia liceum ogólnokształcącego", Dr Lubecka i Dr Hoszowska referowały wyniki ankiety, pp. Instruktorzy podzielili się swoimi obserwacjami z terenu całej Rzeczypospolitej, p. Maria Kiernikowa omówiła „Zagadnienie selekcji kandydatów do liceum".

Referaty wywołały bardzo ożywioną dyskusję, w której poruszono kwestie związane nie tylko z programem liceum i jego wykonaniem, ale również i z programem gimnazjum i przygotowaniem młodzieży wstępującej do liceum.

Ministerstwo W. R. i O. P. opracowało projekt statutu egzaminów dla młodzieży kończącej liceum, stając na stanowisku, że szkoła średnia powinna kończyć się egzaminem. Prof. Nawroczyński ujął w swoim referacie powyższe zagadnienie teoretycznie, dyrektorowie szkół praktycznie — uczestnicy konferencji (z bardzo małymi wyjątkami) uznali konieczność egzaminu, w ankiecie dyrektorowie szkół również wypowiedzieli się przeważnie za egzaminem.

Drugi wniosek bardzo ważny to konieczność selekcji młodzieży, wstępującej do liceum ogólnokształcącego. Zarówno ankieta jak obserwacje instruktorów wykazują, że zaledwie 30 — 50% młodzieży w liceum odpowiada jego wymaganiom.

Z innych zagadnień omawianych na Konferencji poruszono: konieczność zredukowania godzin pracy nauczycielom licealnym, ze względu na specjalnie trudne warunki, wymagające niezmiernie twórczej, absorbującej pracy; konieczność zaopatrzenia liceum w pomoce naukowe, bez których program licealny nie może być realizowany, wreszcie zebranie materiałów do przedmiotu Zagadnień z Życia Współczesnego i ułatwienie młodzieży w korzystaniu z nich. Wszystkie referaty i przemówienia cechowała serdeczna troska o młodzież, o jej rozwój umysłowy i moralny, o jej dobry stan fizyczny. Wyczuwało się również bardzo życzliwe nastawienie dla domu rodzicielskiego młodzieży.

MŁODZIEŻ W DRUŻYNACH PRACY SPOŁECZNEJ P. W. K.

Z obozu wędrownego na Mazurach.

W czasie świąt Bożego Narodzenia Organizacja Przysposobienia Wojskowego Kobiet do Obrony Kraju zorganizowała obóz wędrowny w Działdowszczyźnie. Poszło nas dwanaście — przeważnie instruktorki P. W. K.; w cywilu — różnie: studentki i takie z pokończonymi studiami, uczennice wyższych klas — jak się trafiło.

Szłyśmy w myśl starej tradycji z szopką — była więc Matka Boska i Stary Józef, para krakowska i góral, i polski żołnierz, i młynarz.

Co wieczór w innej wsi, w natłoczonej po brzegi sali szkolnej, na malutkim kawałku zaimprowizowanej sceny wytańcowywałyśmy tańce regionalne; co wieczór rozśmieszała widownię do łez bajka o Janku, co psom szył buty.

Po przedstawieniu obozowe medyczki co prędzej ściągają łowickie stroje, rozkładają na stole apteczkę i zaczyna się udzielanie porad, rozdawanie lekarstw — potem, po ciemku, wędrówka z apteczką po domach, gdzie byli chorzy, nie mogący przyjść do nas. Potem rozchodzimy się do wsi na noclegi do gospodarzy — a rano, znowu dalej, do następnej wsi.

Po przyjściu jedna z nas zostaje w sali szkolnej z zebranymi dziećmi (te zawsze pierwsze wiedziały o naszym przybyciu), prowadzi gry, zabawy, uczy piosenek — dzieci także „przedstawiają" z nami wieczorem.

Reszta rozchodzi się po domach zapraszać na wieczorne przedstawienie.

To zapraszanie i noclegi u gospodarzy dały możność bezpośredniego zetknięcia się z ludźmi. Można było pogadać, wiele się dowiedzieć, trochę opowiedzieć samej. A pytali o wszystko: o Hiszpanię i o „ghetto ławkowe", o nazwy ulic w Warszawie, o wojnę chińsko-japońską. Pytali także o nas — kim jesteśmy i poco przychodzimy. Nie chcieli wierzyć, że to przedstawienie będzie za darmo; potem, gdy już się przekonali, dziwili się, że idziemy tak z własnej woli, że nikt nie finansuje naszej wyprawy. „Ktoś przecie musi za to płacić — rząd albo kto!..."

Znana książka Wańkowicza „Na tropach Smętka" wstrząsnęła sumieniami. Mało kto zdawał sobie jasno sprawę, że tak blisko nas gospodarzy Smętek na

dobre. Mieliśmy przecież dla siebie jakieś, zewnętrzne przynajmniej, usprawiedliwienie, że to po tamtej stronie, że trudno, że cóż na to teraz poradzić?...

Ale i po tej stronie znać Smętkowe ślady.

— Te wszystkie Lischen i Gretchen, Hansy i Fritze — mazurskie dzieci popisujące się przed nami deklamacją niemieckiego wierszyka.

— Niemiecka biblioteka w Działdowie, obejmująca działalnością okoliczne wsie („das ist ja eine gute Bibliothek, tam nie ma żadnych lekkich powieści, same nowe, politische dzieła").

— Filary niemieckości, znani działacze — noszący stare nazwiska polskiej szlachty...

W rozmowach pojawia się stały motyw: tam (za kordonem) jest lepiej, niema bezrobocia.

Jest porządek.

Wiem, że jest to złudzenie — częściowo wynik umiejętnej propagandy, częściowo psychologicznego prawa: „wszędzie dobrze, gdzie nas nie ma".

Sądzę, że w dużym stopniu przyczyniła się do wyrobienia takiego mniemania emigracja do Niemiec. Emigranci szli do Westfalii, do przemysłu, gdzie awans społeczny był o wiele łatwiejszy, zdobyli wyższą pozycję, piszą listy, przyjeżdżają w odwiedziny do krewnych. Daje to w sumie wrażenie, że tam jest lepiej, łatwiej.

Sprawą ogólnie znaną jest separatyzm mazurski i próby wyzyskiwania go przez Niemców. Jednakże dopiero wędrówka po Działdowszczyźnie dała mi bliższe pojęcie o tej sprawie.

W każdej prawie wsi ktoś stwierdził z zadowoleniem, że się przecież całkiem dobrze rozumiemy, chociaż my mówimy po polsku , a oni po mazursku. Kiedy próbowaliśmy mówić, że to przecie jedna mowa polska — protestowali.

Były na tym tle i zabawne zdarzenia. Rozgadałyśmy się raz ze starym Mazurem o dawnych strojach. Gospodarz opowiada, nazywa po swojemu różne części stroju — pyta, jak to się nazywa „po polsku". Wreszcie zgadało się o butach, że to teraz kiepska robota — zaraz *napiętek* odleci. A jakże to powiedzieć po polsku — napiętek?

Na co my zgodnym chórem zawyrokowałyśmy, że chyba — *obcas*. Dziwna rzecz — ale wracałyśmy stąmtąd z poczuciem, że ta mazurska odrębność, to przecie jednak nie Smętkowe ślady. Że to nie słabość, lecz siła. Może nieuświadomiona, ślepa, mogąca nawet zagrażać, wypaczana niejednokrotnie przez obce wpływy — ale mimo wszystko siła ze zdrowego wyrastająca podłoża.

Mowa mazurska — to jednak mowa polska, tego nie trzeba udawadniać żadnymi sztuczkami — wystarczy ją zachować, ochronić.

Zwalczyć propagandę obcą. Sama polskość propagandy krzyczącej nie potrzebuje, zbyt jest oczywista.

Dojść przez uświadomienie odrębności mazurskiej do uświadomienia polskości — tę ideę podjął (o ile mogłam z krótkiego zetknięcia się wywnioskować) Związek Mazurów i prowadzi pracę ciekawą, choć obliczoną na długą metę. Ale na długodystansowość nas na tej ziemi stać...

W wędrówce po domach uderza nas, przyzwyczajone do biedy wsi województw centralnych, duża zamożność i wysoka na ogół stopa życiowa. Bogatsi gospodarze — „gbury" siedzą na kilkuset morgach i życie ich nie różni się od życia t.zw. ziemiaństwa. W każdym prawie domu jest prócz czarnej, roboczej izby po kilka pokoi, urządzonych zresztą na modłę typowo miseszczańską, niemiecką. Więc makatki z wyszytymi sentencjami, przedziwne figurynki, szydełkowe serwetki, rzeźbiona tualeta z lustrem. Wyjątkowo tylko przytrafi się gdzieś w ką-

cie stara szafka mazurska, stary, polski, gotykiem drukowany kancjonał, stary kołowrotek (przędą jeszcze gdzie niegdzie i dziś).

Całkowicie odrębną grupę stanowią w ziemi Działdowskiej przybysze z Kongresówki. Przywędrowali tu po wojnie, w nadziei, że będzie lepiej. Przyszli, rzecz prosta, najbiedniejsi: bezrolni, komornicy. Niektórzy dorobili się domu i ziemi — większość nie wydobyła się z nędzy. Mieszkaniami i całym poziomem życia odbijają się wyraźnie od Mazurów - gospodarzy.

Ze środowiskiem się nie zasymilowali. Dzieli ich religia (ludność mazurska jest ewangelicka), tradycja, różnice zamożności. Rdzenni mazurzy pogardzają przybyszami (zdaje się, że chodzi tu tyleż o antagonizmy dzielnicowe, co o odwieczne przeciwstawienie — gospodarze i komornicy). Przybysze czują się źle. Są sami.

W stosunku do nas są serdeczni, prawie wylewni, bez cienia nieufności. Szczególnie kobiety szczęśliwe są, że mają się przed kim wyżalić, wypytać o swoje strony. Cieszą się z naszego przybycia. Wiadomo — swojacy.

Trasa naszego obozu objęła wsie położone na odcinku Działdowo — Uzdowo — Nowa Wieś. Krótki okres czasu (10 dni) nie pozwolił zatrzymywać się dłużej we wsi niż jeden dzień (pod tym względem większe możliwości miał obóz wędrujący tam w czasie lata, trzytygodniowy). Wrażenia, wyniesione z tak krótkiego zetknięcia się, są z konieczności powierzchowne, częściowo prawdopodobnie niesłuszne. Wędrówka tego typu pomaga raczej do uświadomienia sobie zagadnień, niż do ich rozwiązania. Zostaną takie zawsze spostrzeżenia, których nie da się ująć jako ilustracji problemu, spostrzeżenia i obrazki zmieniające w nieoczekiwany sposób ramy nakreślonego zagadnienia, przenoszące je na inną płaszczyznę — sprawy „na marginesie". Tymi chcę zakończyć.

Pierwszy nocleg wypadł mi w Burkacie — u Niemców (tak powiedzieli miejscowi). Dom zamożny. Na stole kilka ilustrowanych niemieckich pism — obok „Pomorzanin" i „Mały Dziennik". Książka niemiecka (ze wspomnianej wyżej biblioteki). Jakaś „Straż w Prusach Wschodnich", czy coś w tym rodzaju.

On — kolonista niemiecki z poznańskiego, ona — Mazurka. Mówić po polsku nauczyła się po ślubie — chwali się, że już mówi prawie całkiem dobrze.

Przyszłyśmy z pewną nieufnością. Przyjęli nas nadzwyczaj gościnnie, prawie serdecznie.

Wstając rano oglądamy ściany pokoju. Na jednej udekorowany portret „Führera" na drugiej — Marszałek Piłsudski...

Stara Plewczyna optowała. Za Niemcami. Siedzi teraz w izbie, skręca cienką wełnianą nitką i rozmawia z nami. Na ścianie portret „Führera", dekoracja z bibułkowych chorągiewek z „Hackenkreuzem". Kiedy Polska nastała, chcieli zmienić obywatelstwo — zawsze lepiej być u siebie. Podobno naskutek jakichś osobistych nieporozumień z sołtysem nie dostali polskiego obywatelstwa..

— „To my są Niemcy — dlatego u nas „Führer" na ścianie, i swastyka".

Mówi to najzupełniej spokojnie, obiektywnie. Sprawa jest dla niej jasna — jedno wynika logicznie z drugiego. Godzi się z tym. Skarży się na świat i ludzi dzisiejszych. Głupi są. Żyją w niezgodzie i zawiści. Niemiec Polakowi dobrego słowa nie powie, szklanki wody nie poda. Dla niej to równo, Niemiec czy Polak. Wszystkich jeden Bóg stworzył.

Zresztą tylko „ciemny naród" się kłóci. Czyta przecie w gazetach jak się minister albo Pan Prezydent polski z niemieckim spotka to grzecznie ze sobą rozmawiają, przyjmują się z honorami i w zgodzie żyją...

Wanda Wysznacka.

Stosunek rodziców do dziecka.

W artykule: „Zagadnienia wychowawcze z punktu widzenia dobra jednostki i interesu społecznego" („Ziemianka Polska" Nr 1 r.b.) p. Jadwiga Dmochowska w sposób głęboki i interesujący omawia aktualne problemy wychowawcze. Autorka zaznacza, że „mocno wierząc w potęgę wychowawczego działania na kształtowanie się osobowości ludzkiej" stara się wyjaśnić czytelnikowi niewspółmierność wysiłków i poniesionych ofiar wychowawców z osiągniętym rezultatem. Jedną z przyczyn tej niewspółmierności jest to, że oceniamy zazwyczaj ilość, nie jakość wysiłku włożonego w wychowanie dziecka i poddajemy się pesymizmowi wobec katastrofy naszych metod wychowawczych. Wśród tysiąca zagadnień, jakie stoją przed nami, może na pierwszym planie słusznie jest postawić *stosunek rodziców do dziecka*, sprawę, która łączy się ściśle z atmosferą domu i jego nastawieniem do zasadniczych zagadnień wychowawczych.

„Mamy do czynienia z dwoma ustalonymi poglądami na stosunek rodziców do dziecka: Pierwszy pogląd, chronologicznie starszy, polega na przekonaniu, że rodzice, czerpiąc swą wiedzę o życiu z doświadczenia, stanowić winni dla dzieci bezapelacyjny autorytet. Na podstawie takiego stosunku wychowywały się pokolenia. W pewnej mierze był on przyczyną siły rodziny. Stosunek taki w konsekwencji nakładał obowiązki na obie strony: obowiązek posłuszeństwa dla dzieci, obowiązek utrzymania się na piedestale, ciążący na rodzicach. System ten, z punktu widzenia społecznego, ma duże plusy: daje gwarancje pewnego ładu w podstawowej komórce społecznej, jaką jest rodzina. W rzeczywistości utrzymanie autorytatywnego stosunku do dziecka jest możliwe wówczas, gdy wychowawca istotnie stoi na pewnej wyżynie moralnej. W przeciwnym razie rodzić się muszą wybiegi i fałsze, zasłaniające istotny stan rzeczy, byle utrzymać prestige! Rodzice odgradzają się od wnikliwych oczu dziecka murem niedomówień. Posłuszeństwo konwencjanalne lub zrodzone ze strachu nie może dać wyników pozytywnych. Jedynie uwielbienie i szacunek do wychowawcy tłumaczyć mogą dobre w wielu wypadkach rezultaty wychowania autorytatywnego.

Okres liberalizmu stworzył nowy pogląd na wychowanie. Szczytową pozycją liberalizmu w zakresie jego wpływu na życie jednostek jest ubóstwienie indywidualności ludzkiej. W konsekwencji: swoboda, jaką się daje człowiekowi w jego rozwoju. Idee liberalne przeniknęły głęboko w nasze życie, wpłynęły na konstrukcję rodziny. Stare hamulce przestały działać. Większa szczerość i bezpośredniość stosunku — to niewątpliwie dodatnie zdobycze liberalnego wychowania. Nie zapominajmy jednak, że istnieje odwrotna strona medalu. Dam przykłady jaskrawe, by uwypuklić niedomogi systemu. Samowolę dziecka traktuje się jako przejaw silnego charakteru, unikając interwencji, stawiania tam i ograniczeń. Zachwyca się bezceremonialnością stosunku dziecka do rodziców: dziecko mówi rodzicom „ty" — to jest rozkoszne, — dziecko powiedziało „jesteś śmieszny, mój stary" — ojciec zachwyca się własnym postępowym stosunkiem do takiego zachowania: jesteśmy przecie na przyjacielskiej stopie. Córka wypytuje matkę o jej sukcesy i flirty — jak gdybyśmy były rówieśnicami — zachwyca się mama. Swoboda... swoboda jest podstawą przyjemnie i łatwo urządzonego życia. W imię tej swobody wybiera się linię postępowania, linię najmniejszego oporu, a właściwie pozostawia się dziecko bez busoli i steru. Dziecko radzić sobie musi samo. Nie powinniśmy się zatem dziwić, że gdy przyjdzie rozstrzygnięcie sprawy ważnej, w czym chcielibyśmy wziąć udział — nie będzie się liczyło z naszym zdaniem.

Oba systemy: autoryzowany i liberalny, potraktowane krańcowo są błędne, niepodobna wybrać żadnego z nich. Trzeba szukać nowych, czy może pośrednich dróg.

Chcemy, by dziecko odnosiło się do nas z szacunkiem, — to jest słuszne. Na szacunek jednak musimy zasłużyć, stąd praca wychowawcza połączona być musi z samowychowaniem. Szacunek nie może być oparty na niewiedzy. Co począć, gdy dziecko odkryje złą prawdę o nas, gdy dowie się „wszystkiego". Na beznadziejne stawianie tej sprawy nie możemy sobie pozwolić. Gdy dowie się całej prawdy — to dowie się, że jesteśmy ludźmi, jak inni, ułomnymi, walczącymi jednak wytrwale z własną niedoskonałością. Taka prawda nie powinna dziecka złamać. Chcemy by stosunek dziecka do nas był serdeczny — to jest konieczne Atmosfera miłości jest najwłaściwszym klimatem, sprzyjającym rozwojowi młodej duszy. Serdeczność ta jednak oparta być musi na czymś więcej, niż potężne więzy krwi. Stosunek oparty na miłości, płynącej z wzajemnego zrozumienia — oto ideał. Utrzymanie tego stosunku wymaga nieustannej czujności z naszej strony, ciągłej walki o nowe pozycje, łączące nas z dziećmi. Wymaga jeszcze jednego: porozumienia i harmonii między rodzicami, czyli tego, co stwarza dobrą atmosferę domu. Atmosfera działa silniej, niż tysiączne nakazy. i upomnienia. Atmosfera domu rodzinnego wyciska na człowieku niezatarte piętno, kształtuje osobowość w najbardziej podatnym na wpływy okresie, przesądza częstokroć o szczęśliwym lub zwichniętym życiu".

Poza tym tak ważnym problemem „dzisiejszych czasów" autorka porusza wiele innych doniosłych zagadnień wychowawczych, ujmując wszystko w sposób prosty, życiowy, a jednocześnie bardzo głęboki.

Z PRASY POLSKIEJ.

Deklaracja praw dziecka.

Omawiając „Nowe formy opieki nad młodzieżą" w „Nowym Kurierze" poznańskim z dn. 1. marca b.r. pani W. Gurzyńska powołuje się na deklarację praw dziecka, którą przed 20 laty wraz z innymi państwami podpisała również i Polska.

Brzmi ona tak pięknie, jest zawsze tak aktualna i żywotna, że warto ją przypomnieć:

1. Dziecku winno się dać możność normalnego rozwoju. 2. Dziecko głodne winno być karmione; dziecko chore — pielęgnowane; dziecko niedorozwinięte — odpowiednio kształcone; dziecko wykolejone — zwrócone na właściwą drogę; sierota i dziecko opuszczone — wzięte w opiekę i wspierane. 3. Dziecko powinno przed innymi otrzymać pomoc w czasie klęski. 4. Dziecko powinno być przygotowane do zarobkowania na życie i zabezpieczone przed wszelkim wyzyskiem. 5. Dziecko powinno być wychowywane w wierze, że jego najlepsze cechy winny być oddane na usługi współbraci.

Obrazek na czasie.

W „Słowie" wileńskim z dn. 6.III. br. podaje „Nauczycielka" maleńki obrazek, świadczący, że nie w jednej stolicy, ale i gdzieindziej młodzież w swym zachowaniu się wobec dorosłych staje się, powiedzmy — coraz bardziej... swobodna.

Pada deszcz. Idąca chodnikiem pani zasłania się parasolem. Z bursy wychodzi kilku chłopców w płaszczach uczniowskich z niebieskimi i czerwonymi tarczami na rękach. Jeden z nich podbiega i kryje głowę pod parasolem, pozostali starają się pójść w jego ślady, zaczyna się wzajemne popychanie w kierunku idącej, która przyśpiesza kroku. Słychać niewybredne żarty i uwagi.

Zaatakowana w ten sposób pani, pewno z obawy przed ostrą reakcją, nie zwróciła uwagi młodzieży na niewłaściwe jej zachowanie. A przecież było to jej obowiązkiem.

Chore serce młodzieży.

W „Kurierze Warszawskim" z dn. 5.III. br. omawia p. Jan Cz. w artykule pod powyższym tytułem wyniki badań dr T. Boka, który stwierdził, że 30% naszej młodzieży męskiej wchodzącej w życie, a 20% młodzieży żeńskiej — to ludzie chorzy na serce.

Stan ten z roku na rok się pogarsza. A przyczyny? Przepracowanie i fizyczne i umysłowe. Nie tylko trzeba dobrze i pilnie się uczyć, żeby sprostać wymaganiom szkoły, ale trzeba uprawiać sporty, uzyskać P. O. S., należeć do P. W. „Nieuprawianie jednego, dwóch a często kilku gałęzi sportu stawia młodzież poza nawias jej nie zawsze wyrozumiałych rówieśników.

A warunki domowe i społeczne? To nieraz walka o książkę, zeszyt, opłacenie czesnego, możliwie przyzwoity mundur, to dalekie nieraz w obecnych warunkach mieszkaniowych dojazdy tramwajem lub pociągiem, brak ciszy w ciasnym mieszkaniu i kłótnie domowników.

Wiele zastrzeżeń wyraża dr Bok pod adresem sportu. Nadmiar wody, powietrza i ruchu, czynników tak dobroczynnych dla zdrowia, może przynieść szkodę — chorobę, a nawet śmierć. Nade wszystko jednak o tym pamiętać trzeba, że każda gałąź sportu uprawiana dziko, bez planu i bez umiaru, prawie zawsze przynosi objawy nadczynności pewnych organów, a w rezultanie ich schorzenie.

Traktowanie młodzieży przez instruktora jako żołnierzy, a nie jak p r z y s z ł y c h ż o ł n i e r z y (sprawa marszów i obciążenia) również daje nieraz wyniki jak najgorsze i prowadzi do schorzeń serca, uniemożliwiających w przyszłości służbę wojskową.

Wszystkie te względy winny bacznie mieć na uwadze zarówno dom rodzicielski jak i szkoła, i ramię przy ramieniu z lekarzem stanąć do walki z tak groźną niedomogą.

Szkoła radosna czy rozbawiona?

„Gazeta Kaliska" z dn. 9.III. przedrukowuje za „Kurierem Polskim" artykuł pod powyższym tytułem, który piętnuje zabawy jako „jedną z plag naszej szkoły".

Autor artykułu twierdzi, że „nie lekceważymy potrzeby dostarczenia młodzieży szkolnej godziwej rozrywki pozanaukowej raz lub dwa razy do roku. Ale rozrywka ta nie powinna polegać tylko na jałowym tańcowaniu, które... przeciąga się aż do białego rana".

Gdzież tak bywa? W której szkole? Przecież istnieje w tym przedmiocie okólnik Ministerstwa, nie pozwalający na późne kończenie się zabaw szkolnych.

Dalej autor artykułu uskarża się, że wieczorki szkolne są „pretekstem do karoty" rodziców „na jakieś cele rzekomo podniosłe, ale po największej części mało wspólnego mające z istotnymi potrzebami szkoły".

Tak, wieczorki szkolne pociągają za sobą czasami karotę, ale częściej wprost określony wydatek na bilet, jako pokrycie kosztów orkiestry i bufetu. Nic więcej. Z okazji szkolnych tańcówek żadna szkoła nie zbiera wpływów na żadne inne cele i nikt się z tym nie kryje.

A że parę pań z Komitetu Opieki, według zdania autora „leciwych a spragnionych jeszcze zabawy w atmosferze młodości" rzeczywiście napracuje się, żeby zabawę zorganizować... dla kogóż jak nie dla bliskiej sobie młodzieży, to znów nie zbrodnia. I chcielibyśmy widzieć Szanownego autora (czy autorkę) artykułu na miejscu której z tych „spragnionych zabawy" pań. — Przekonałby się, że zabawy w takim organizowaniu wieczorku niema żadnej, a zato jest pełno krzątaniny, trudu i kłopotów, które może naprawdę sprawiają pewną przyjemność zacnym osobom o macierzyńskich sercach, bo cieszy je myśl, że się dzieci zabawią, ale która napewno ich osobistej spóźnionej żądzy zabawy nie zaspakaja!

A końcowa uwaga, że nie trzeba się dziwić, kiedy się zabawa kończy pijatyką i bijatyką, jak to się wydarzyło w jednej ze szkół łódzkich, to już szczyt niekompetencji dziennikarskiej! Gdzie Rzym gdzie Krym?

Ta zabawa przecież była zabawą r o d z i c ó w, i to, (jak widać) jakichś bardzo szczególnej kategorii rodziców, a nie młodzieży.

Wogóle na temat owej pożałowania godnej zabawy łódzkiej posypał się cały szereg dziwacznych i nieprzemyślanych uwag w wielu organach naszej prasy. Specjalnego miejsca tu im poświęcać nie będziemy, gdyż Redakcja otrzymała w tej sprawie głos rodzicielski, który czytelnicy znajdą w odpowiednim dziale, a który zagadnienie to omawia w sposób dość wyczerpujący.

Z PRASY ZAGRANICZNEJ.

Dlaczego bijemy dzieci?

W artykule z lutego b.r. w „La Nouvelle Education", zatytułowanego „Czy kochamy nasze dzieci" M-me Lebel rozważa rodzicielską „miłość karzącą".

Nieraz zadawała rodzicom pytanie: — „Dlaczego bijecie dziecko"?

Często otrzymywała odpowiedź: — „No, cóż, nerwy szukają ujścia"! Albo: — „Dzieje się to, zanim się nawet zdążę zastanowić". Odpowiedzi przynajmniej szczere.

Ale słyszy się też inne uzasadnienia: — To najlepszy sposób, żeby je wytresować"! Albo: — „Tylko w ten sposób można je zmusić do ustąpienia".

W tych odpowiedziach, pisze p. Lebel, nie słyszy się bynajmniej cichego głosu miłości. Co zawierają? Troskę o własny spokój, słabość woli, brak opanowania, zarozumiałość... ale ani śladu miłości.

Miłość darząca nigdy nie bywa miłością karzącą. Miłość, która obdarza, niechętnie się ucieka do represji. Domaga się ich nasz egoizm, z którego nie umiemy się otrząsnąć.

Pani Lebel proponuje praktykę u c i s z e n i a. Ono uwalnia nas od chaosu zmieszanych uczuć i wrażeń, które nam przeszkadzają myśleć. Czyni nasz sąd jaśniejszym, pozwala nam uniknąć błędów.

Autorka podaje piękny przykład z życia. Młoda zastępowa zuchów wahała się z przyjęciem nowego kandydata. Niedość go znała. — „Poprostu odroczę jego przyjęcie" — pomyślała.

Zastanowiwszy się jednak, postanowiła wezwać chłopczyka do wspólnego rozważenia sprawy. — „Niedość cię znam" — oświadczyła mu z całą prostotą. — „Ale ty sam najlepiej wiesz, czy się czujesz godny. Postąpię według tego, jak zdecydujesz po spokojnym rozmyślaniu".

Pozostali w milczeniu, trzymając się za ręce. Wreszcie chłopczyk oświadczył zastępowej:

— „Druhno, nie złożę przysięgi".

— Zgoda, jeśli się nie czujesz gotów.

— Nie mogę, druhno, ukradłem bratu ołówek.

— Może mógłbyś mu go oddać i przeprosić go?

— Nie będę mógł w tych dniach. Brat jest w szpitalu. Zaczekamy, aż do następnego zaprzysiężenia zuchów".

Zamiast automatycznego odroczenia, które w chłopcu mogłoby obudzić poczucie upokorzenia i rozgoryczenia, bo przecież druhna nie wiedziała, co on sam myśli o sprawie, zostały wydobyte z duszy dziecka jego najwyższe walory prawości i sumienia, umocniona została więź braterskiego porozumienia pomiędzy nim a zastępową.

Dobrze powie niejedna z matek, to wszystko jest bardzo piękne, ale kto ma czas na uciszanie się, na rozmyślania w natłoku zajęć codziennych?

A ileż czasu tracimy na irytację? Ile błędów popełniamy w gniewie, które później chciałoby się odrobić, a nie zawsze można?

Oto inny przykład. W pewnym przedszkolu dziewczynki prosiły, żeby nauczycielka usunęła z klasy dokuczliwą koleżankę.

— „Najpierw uspokójmy się wszystkie — powiedziała wychowawczyni. — Pozostańmy chwilkę w milczeniu".

Po paru minutach jedna z dziewczynek zawołała: — „My wszystkie nie byłyśmy dobre dla Janki. W ten sposób ona się nie zmieni!

Odezwał się „cichy głos", głos wewnętrznej prawdy. Łatwo się do niego odwołać u dziecka. Ale czy i nas nie stać na odwołanie się do tego głosu?

Oto pewne zasady, które proponuje pani Lebel:

1. Nie pozwalajmy sobie na żadne krzyki z dzieckiem, które kochamy.

— „Wolę, żeby mnie wybili, niż kiedy krzyczą” — powiedziała pewna 5-cio letnia dziewczynka. A pewien chłopczyk, który wprost wyrywał się z domu do szkoły, powiedział: — „Pilno mi do szkoły, bo w domu, to tylko ciągłe krzyki”.

2. Nigdy nie idźmy za odruchem złego humoru lub irytacji. Będziemy tego żałowali.

3. Kiedy jesteśmy zmęczeni, niespokojni, zdenerwowani, nie zajmujmy się dziećmi. Poczekajmy chwilę, aż się uspokoimy.

4. Pamiętajmy, że nasz spokój jest środkiem pedagogicznym najpewniejszym, najprzyjemniejszym, jedynym, jaki zawsze ma do dyspozycji człowiek dobrej woli.

Głos mają dzieci.

Francuski tygodnik kobiecy „Marie Claire” (11.III. b.r.) pod tytułem powyższym zamieszcza kwestjonariusz, na który odpowiedź winny dawać dzieci w formie ocen, a więc: 1 — jeśli rodzice w ten sposób im nie dokuczają, 2 — jeśli to czynią czasami, 3 — jeśli to czynią ciągle.

Oto pytania:

1. Czy dopatrują się ciągle podobieństwa waszego do kogoś z rodziny?
2. Czy zmuszają was, żebyście przed obcymi mówili, ile macie lat?
3. Czy zabierają was z sobą do pięknych sklepów, żeby załatwiać własne sprawunki?
4. Czy mówią ciągle: „nie garb się”, nawet kiedy się trzymacie prosto?
5. Czy lubią publicznie krytykować wasze wady?
6. Czy opowiadają o rzeczach, których nigdy nie zrobiliście i przypisują wam słowa, których nie mówiliście nigdy?
7. Czy całują was ciągle?
8. Czy grożą, że was oddadzą do internatu?
9. Czy budzą was, kiedy wracają wieczorem, żeby się przekonać, czy śpicie?
10. Czy stawiają wam ciągle jako przykład inne dzieci?
11. Czy wasza mamusia nie ubiera was za ciepło?
12. Czy w tramwaju zabraniają wam stać na platformie?

Może byłoby ryzykowne poddawać pod sąd dzieci te pytania, ale warto żeby je rodzice w sumieniu swym rozważyli.

OBRAZKI Z ŻYCIA.

Państwo N. skrupulatnie zapisują wszystkie wydatki sprawdzając je następnie wspólnie. Pewnego wieczoru pan N. wczytując się pilnie w poszczególne pozycje wykrzykuje nagle zdumiony:

— „Kryształ? Cóż to za kryształ? Dlaczego tak nagle kupiłaś kryształ?

— „To na imieniny przełożonej”.

„Jakto, przecież co roku kupowałaś jej kwiatek. Czemu raptem teraz taki kosztowny prezent?”

— „Czemu? Zapomniałeś, że w tym roku Kazia zdaje maturę. Przecież chyba rozumiesz, że Kazia m u s i zdać maturę, — dodaje uroczyście i kończy z wyrzutem — żałujesz dziewczynce kilkudziesięciu złotych?”

* *

Ponieważ w szkole Y. chłopcy byli bardzo mizerni i wątli, rodzice w serdecznej trosce o ich zdrowie uchwalili zebrać składkę dla mniej zamożnych i urządzić kolonię wypoczynkową. Zebrano 500 zł. i rodzice z góry cieszyli się jak to zaokrąglą się i opalą blade twarze chłopców, pracujących cały rok w niehigienicznym gmachu szkoły. Tymczasem dyrekcja szkoły zadecydowała, że ponieważ akurat jest potrzebny szkole sztandar, więc zebrane pieniądze przeznaczy się na ten cel. Rodzice byli wprawdzie dumni z pięknego sztandaru, zachwycali się ślicznym nasyceniem kolorów, ale piękne barwy nie mogły im jakoś przysłonić mizernych twarzy dzieci czekających napróżno na kolonie.

*
* *

Podczas wykładu z historii dwie uczennice szeleszczą jakimś papierem — „Co wy tam robicie? — woła zagniewana nauczycielka w stronę, skąd dochodzi szmer — Co się tu u was dzieje? Wyjdźcie z klasy, ja nie wytrzymam! I zameldujcie wychowawczyni, że szeleściłyście kartkami!" — Wychodzą dwie winowajczynie żegnane owacyjnie przez resztę dziewczynek, nieomal jak triumfatorki. Trzeba dodać, że są to dwie najlepsze uczennice, a nauczycielka dopiero niedawno w tej szkole, nie zna jeszcze stosunków klasowych. Może zdziwiłaby ją bardzo rozmowa tocząca się zaraz za drzwiami: „Czy byłaś kiedy wyrzucona?" „Nie". „Ja też nie. Dobrze, że razem zobaczymy jak to jest".

Sumienne uczennice chciały posłusznie zameldować wychowawczyni o swym przewinieniu, ale akurat miała lekcję w innej klasie, czekały więc cierpliwie do pauzy. Warto dodać, że wyszły... na początku lekcji.

*
* *

Alicja wróciła do domu bardzo zła i pochmurna.

— „Mamusiu" — wyrzeka przy obiedzie — nauczycielki ciągle mnie krytykują, jedna mówi, że brzydko piszę, druga, że nie uważam, niemka się złości o niedokładne poprawianie klasówek, łacinniczka, że nie uczę się słówek, każdy coś do mnie ma. Wogóle już mi się to znudziło, mamo, takie ciągle uwagi o mnie" — kończy ze łzami w głosie.

„Ach, Alusiu, nie zwracaj na to uwagi. Jak ci będzie tak przykro w szkole to co tam, przeniosę cię gdzieindziej, żeby moja córuchna była wesoła".

*
* *

Zmartwiona wychowawczyni udziela klasie nagany za złe postępy w łacinie. — „Pani Z. skarży się, że nic nie robicie, wogóle wcale nie pracujecie na lekcji".

Tak — wzdycha jedna z uczennic — chociaż w c a l e to znowuż przesada. Zawsze równocześnie pracują u nas trzy osoby — dodaje z miną zdecydowaną.

— Jakto trzy? Jakie trzy.

— Nauczycielka, odpowiadająca, no i ta co podpowiada.

*
* *

Pani F. wracając do domu z jakiegoś zebrania podczas wakacyj Bożego Narodzenia, zastaje swego 13 letniego Tadzika, ucznia III kl. gimn., lepiącego ze skupieniem okręty z papieru. Cały stół zastawiony jest maleńkimi okręcikami, wszędzie stosy papierów, nożyczki, klej... Pani F. jest tym zaskoczona, nie może zrozumieć, skąd jej syn, taki zdolny i doskonale rozwinięty na swój wiek chłopak, wynalazł sobie zajęcie odpowiednie może dla 10 letniego chłopca i robi to z widocznym upodobaniem. — Tadzik, czy ciebie to rzeczywiście zajmuje? — pyta zdumiona. — O tak, mamusiu, ja od trzech lat już chciałem robić te okręty, tylko nigdy nie miałem czasu, ciągle byłem w szkole, na zbiórkach, na kółkach, w świetlicy i cały dzień był pokratkowany, a te moje okręty nie mogły się w nim zmieści. To jest, mamo, moje dawne zamiłowanie, tylko że takie odłożone. Zawsze liczyłem, że może kiedyś znajdę jeszcze na nie czas. Teraz z powodu choroby tatusia nie wyjechaliśmy na narty, to akurat mogę to robić — kończy Tadzio skrupulatnie doklejając komin do jakiegoś parostatku.

PROSIMY O ODNOWIENIE PRENUMERATY ZA KWARTAŁ DRUGI.

RODZINA I DZIECKO

MIESIĘCZNIK POŚWIĘCONY ZAGADNIENIOM WYCHOWANIA MŁODZIEŻY SZKOLNEJ ORAZ WSPÓŁPRACY DOMU I SZKOŁY

Redaktor i Wydawca: JANINA RENDZNEROWA

Prenumerata wynosi: kwartalnie (3 zeszyty) — zł. 2.40
rocznie (10 zeszytów) — zł. 7.50

PRENUMERATA ULGOWA DLA KÓŁ RODZICIELSKICH
opłacających prenumeratę zbiorową
od 10 egz. miesięcznie — 70 gr. za egz.
od 20 egz. miesięcznie — 60 gr. za egz.

Cena numeru pojedyńczego 1 zł.

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: Warszawa, Zakopiańska 31, tel. 10.05-11
(godz. 8 — 10 i 16 — 17). Konto P. K. O. 14020
Konto pocztowe do przekazów rozrachunkowych 732

Zgłoszenia osobiste w sprawach redakcji i administracji Świętokrzyska 30 m. 8, tel. 6.40-53, w poniedziałki, środy i piątki w godz. 13 — 14

Prenumeratę przyjmują również wszystkie większe księgarnie.

Rękopisów niezamówionych Redakcja nie zwraca; prace winny być pisane na maszynie na jednej stronie arkusza

Zakłady Graficzne „DRUKPRASA", Warszawa, Nowy Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40